



WRAŻENIA I SĄDY.

„Adwokat niech głowę, a koń niech ma nogi”...

Wojciech Kossak wymalował: *Gravelotte w roku 1870* („Jeszcze polska nie zginęła”) — arcydzieło. Wymalował także *Rugi pruskie* („Precz!”) — drugie arcydzieło. Z zachwytem powtarzamy przed tymi dymoma obrazami: Jaki malarz!.. Jaki polak!.. A gdy nam mówią, że tych obrazów twórca wzgardził łaskami cesarza niemieckiego, aby mieć prawo publicznego okazania mu co myśli o nim i o jego polityce, myślimy, że człowiek wart artysty, i że, gdyby było inaczej jego dzieła nie byłyby arcydziełami.

W tej sprawie rachunek artysty z opinią publiczną jest zamknięty, i wznawiać go nie było potrzeby.

Wznawiał go jednak sam artysta. W wydanych niedawno „Wspomnieniach”, suto przez siebie obrysowanych, opowiedział światu bardzo obszernie, z naciskiem na każdym fakcie i facyku: jak się to wszystko odbyło, jak cesarz Wilhelm darzył go z początku względami i do siebie zapraszał, jak artysta w uczuciach patriotycznych zraniony, musiał cesarza, jego dwór i stolicę porzucić, jakie to skutki za sobą pociągnęło itd.

Czyta się to z zajęciem, ale na dobro artysty nie dokłada. Może nawet...

Kościuszko wchodził dwukrotnie w bliżki i bezpośredni stosunek z cesarzami rosyjskimi. Cesarz Paweł przywrócił mu wolność, obdarzył go znaczną sumą pieniędzy, ofiarował służbę w swej armji i w kraju zamieszkać pozwolił. Wiadomo w jakim zakresie wielki wódz z łaski cesarskiej skorzystał. W kilkanaście lat później, cesarz Aleksander I, przystępując do organizacji Królestwa

kongresowego zwrócił się do Kościuszki, już weterana i inwalidy, złożył hołd jego męstwu i patriotyzmowi, o radę pytał, najwyższą godność w kraju ofiarować mu zamyślał. Jak zachował się wobec tego bohater z pod Maciejowic — również wiadomo.

W historii kraju i w historii Kościuszki te karty należą do najpiękniejszych. Podnosi ich piękność to, że Kościuszko je tworzył, lecz ich nie pisał, że wyręczyli go w tem inni, przedewszystkiem — historia.

Drobnym zatargiem Wojciecha Kossaka z cesarzem niemieckim historia zajmować się nie będzie — jednak i tej karteczce z prywatnego archiwum artysty dodało by wagi, gdyby została napisana przez kogo innego, lub doszła do wiadomości ogółu choćby tylko za pośrednictwem prasy.

Zresztą rzeczą malarza jest przedewszystkiem malować; pisanie należy do pisarzy — a Michał Anioł? a Lionardo da Vinci?.. Ci dwaj genjusze należeli do wyjątków, gdyby zaś pozostawili tylko pisma, zaliczyć byśmy ich musieli do talentów średniej miary. Nawzajem wszystkie rysunki i akwarele Słowackiego nie są warte najslabszej nawet z jego strof poetyckich „Adwokat niech głowę itd.” — co nie dowodzi wyższości adwokata, lecz tylko okazuje potrzebę, w ogólnej gospodarce społecznej, skrupulatnego podziału pracy.

Poza tem „Wspomnienia” są pisane żywo, barwnie i ujawniają temperament człowieka, który, mimo wszystko, zadowolony jest ze świata i z siebie. Pod tym względem książka odrzyna się jaskrawo od ogółu współczesnej literatury i od nastroju całego spo-

teczeństwa. Ten różowy optymizm, ta żołnierska brawura, ta tężyzna dawna, węgrynem pojona szlachtę przypominająca, nie z tego są świata, a przynajmniej nie z tej ziemi. Mam że wyjawić swe wrażenie osobiste? Mnie te karty brawurowe wydawały się chwilami anachronizmem, a chwilami — ironją.

Może komuś dzać się jaknajlepiej, może stwierdzać (jak to twierdzi autor „Wspomnień”), że jest „zdrów na ciele i duszy“, że go „życie nie poiło goryczą, i żółcią krwi mu nie zatrulo“, że „od ludzi wiele więcej doznał dobrego, niż złego“, a za każdą krzywdę „odpłacano mu z nawiązką“ — jeśli jednak serce tego człowieka pulsuje tym samym rytmem, co serce narodu, powstrzyma on temperamentowe wybuchy tężyzny, brawury i samozadowolenia, do których nie z tego, co go otacza, słusznych nie daje powodów. Powstrzyma tembardziej, że tej brawury nabrał w służbie rycerskiej wprawdzie, lecz „obcego autoramentu“, ta zaś tężyzna jest rodem — z paryskich bulwarów.

„Wspomnienia“ Wojciecha Kossaka mają powodzenie księgarskie, stwierdziłem jednak, że wywołują sądy bardzo sprzeczne. Sprzeczność lub nawet wyraźne niezadowolenie wynikają stąd głównie, że ludzie głębiej myślący i jaskrawym bawidełkom niechętni w autorze „Wspomnień“ nie poznają twórcy „Rugów pruskich“ i „Gravelotte“. Ostatni jawił im się zgoła różny od pierwszego i takim właśnie, któremu „żółć krew zatrula“. Trudno bowiem zaprawdę być zdrowym, wesołym i ze wszystkiego zadowolonym takiemu, kto w pierś swą bierze ciosy, zadawane ojczyźnie.

Od księgi bardzo okazałej, która jednak w gruncie rzeczy jest efemerydą przechodzą do książeczek skromnych, lecz posiadających warunki długiego trwania. Tych książeczek ukazać się ma, w nieokreślonych terminach (po kilkanaście do roku) cała serja. Spodziewać się można, że dzięki dobremu wyborowi, wniosą one nowe życie do literatury i nieco zatęchłą atmosferę naszej umysłowości oczyszczą świeżem technieniem polskiego „złotego wieku“ oraz dzisiejszej i wczorajszej Europy.

Mówię o popularnej, taniej, a mimo to cennej i wytwornej bibliotece literacko-artystycznej, którą pod tytułem „Muzy“, a pod redakcją Jana Lorentowicza wydawać zaczęła firma Orgelbrandów. Wróżyć można temu wydawnictwu powodzenie, zaspakaja bowiem

jedną z pilniejszych potrzeb naszego czytelnictwa. Z uznaniem podnieść też trzeba wielką ruchliwość wydawców, którzy skutecznie a w tempie coraz żywszem, podtrzymują u nas ruch literacko-księgarski. Powierzając kierownictwo „Muz“ Janowi Lorentowiczowi, dowiedli, że umieją czynić wybór właściwy, a to stanowi tajemnicę powodzenia każdego redaktora i wydawcy. Lorentowicz jest równie dobrym znawcą literatury polskiej, jak obcej; wyszkolony w czasie długiego pobytu w Paryżu na świetnego dziennikarza i krytyka zdaje sobie sprawę dokładną z tego: jaka ma być książka zarazem popularna i pożyteczna, ucząca i bawiąca.

Trzy dotąd wydane tomy tworzą jakby trójgłos poważny i podniosły.

Znajdujemy tu na wstępie obszerny wybór „Kazań i pism“ Piotra Skargi. Przychoǳą one w porę, gdy bowiem w roku jubileuszowym pisało się wiele o Skardze, samego Skargi nikt prawie ogółowi polskiemu nie pokazał. A jest to mówca pisarz, moralista i patrijota wszechczasowy. Poświęcony mu tom ułożono w taki sposób, żeby uwydatniał wszystkie najcenniejsze i zarazem najbardziej znamienne strony jego wielkiego talentu. Jest to cały Skarga w zmniejszeniu.

Spotkawszy obok polskiego złotoustego kaznodziei nazwiska Augusta de Villiers de l'Isle Adama i Ernesta Renana, ktoś mniej znający tych ostatnich mógłby się obawiać, że wytworzą z tamtym rozdźwięk... Jest wręcz przeciwnie. Ci trzej twórcy, z których każdy jest w swoim rodzaju genialny, różnią się może pod względem dogmatycznym, łączy ich wszakże jedno wspólne znamię: głęboka religijność. Można by tylko pomiędzy wiarą każdego z nich te zaznaczyć odcienie, że pierwszy szukać Boga nie potrzebował, gdyż miał go w sercu, na świat przychoǳąc, drugi Boga szukał i znalazł; trzeci nigdy o Bogu nie wątpił, posiadłszy ten ogrom wiedzy, który, wedle znanej sentencji „zbliża do Boga“.

Wiktor Gomulicki.



Nasze „Listy z Bałkanu”.

Korespondent nasz p. Mieczysław Jełowicki, który nadsyłał tak zajmujące listy bałkańskie, wyjechał dalej w głąb Serbji, skąd nadsyłać nam będzie nadal listy i fotografie z niebezpiecznej tej w czasach wojennych podróży. Nadmieniamy, że nadsyłanie listów z terenu wojny, połączone jest z wieloma trudnościami, nie możemy też zapewnić Czytelników czy zawsze na czas będą nas korespondencje dochodziły.

Otrzymaliśmy właśnie stamtąd pierwszą korespondencję, wraz z zdjęciami fotograficznymi, dokonanymi specjalnie dla nas na miejscu, którą w niniejszym numerze zamieszczamy.



Nad rzeczką Lepenicą. Motyw z drogi z Belgradu do Niszu.

LISTY Z BAŁKANU.

(Oryginalna korespondencja „Złotego Rogu”).

VIII. Z BELGRADU DO NISZU.

Żegnaj mi, biały grodzie! Odjeżdżam w głąb Serbji. Krajobraz u wstępu drogi. Wsie serbskie. Złudzenia spokoju i pogodnej ciszy. Odgłosy wojny: na linii kolejowej, na stacji w Palance. Miasta i miasteczka serbskie. Brzegiem Morawy Przyjazd do Niszu. Ogólne wrażenie z pierwszego etapu podróży.

Nisz, dnia 1 marca.

Żegnaj mi, biały grodzie!

Przez trzy miesiące gościłeś głodne oczy moje w swoich murach, przez trzy miesiące prosto i naturalnie roztaczałeś mi swoje uroki, bez obłudy odsłaniałeś swoje braki i skazy, cicho, bez krzykliwej skargi odkrywałeś swoje rany — —

Trudno nam było żyć się z sobą. Była przepaść między mną, człowiekiem zachodu, a tobą, który piliś że źródła Bizancjum. Nieufnie spoglądaliśmy na siebie u początków naszej znajomości.

Aleśmy się żyli. Jedna wielka myśl — ta, którą ty spełnił i ta, na której spełnienie ja czekam, zbudowała nam złoty most porozumienia. Po złotym moście wspólnej myśli poszed-

łem ku tobie, a tyś wyszedł naprzeciw i otworzył ramiona.

Widzisz, grodzie biały, ja byłem wszystkim innym, tylko nie byłem — Słowianinem. Brac słowiańską miałem — pozwól mi to powiedzieć otwarcie — miałem za tłum, niedorastający mojemu narodowi kulturą do kostek — za tłum, który... nie pachnie.

Twoja to zasługa że odmieniły się moje uczucia. Choć nie odmieniło się zdanie. Studja porównawcze jeszcze wyraźniej oświetliły mi tę przepaść cywilizacji, jaka leży między nami.

Lecz w serdecznym pożyciu dwóch dobrych przyjaciół nieraz kładłem ci rękę na puls i mierzylem jego gorączkowe tętno, nieraz wyczuwałem przyspieszony łomot twojego serca, przeżywałem z tobą twoje radości i smutki i pod twardą skórą chropawej powłoki wyczułem wszystkie nieocenione zalety, które są właściwe ludziom pierwotnym, a które nie stają przerafinowanym synom wybujałej cywilizacji.

Nauczyłem się kochać ciebie i zatem cenić.

Odchodzę cię z uczuciem żalu i wdzięczności. Dałeś mi dużo wrażeń silnych i dużo szczerych uniesień. Nieraz zmaciłeś mi umysł za drożością, z której można światy budować... nieraz zatrueś mi serce bólem, ale bólem, z którego można nieśmiertelność budować... Nieraz zatrząś mi duszą aż do posad...

Będę pamiętał o tobie.

Z Bogom, biały grodzie!

Niechaj się spełnią sny twoje! jako i na moje sny czas nadejdzie!

Z Bogom, biały grodzie!

Tak mi malejesz w oddali. Tak chyżo mknie pociąg brzegiem płowej Sawy. Widzę jeszcze wysmukłą wieżycę twojej *crkwy glawnej*, jeszcze mi wieje chorągiew królewska na konaku — już się zacierają kontury — już giną w przestrzeni — w oczach pozostaje tylko rozpadlina dwóch gór, przeciętych srebrną wstęgą Dunaju, oblewającego dwa strone, prosto w siebie patrzące zbocza¹⁾, mierzące się wylotami armat, rysujących się twardo na błękitie oddalenia.

Aż pociąg odchyła się od linii Sawy i zatoczywszy się łukiem na południe, wsuwa się w wąwozy gęstych lecz łagodnych i bogato zalesionych wzgórz. Złoto promieni słonecznych grzeje im okrągłe grzbiety i spadziste stoki, a one — w słońcu i świeżości wczesnego poranka, uśmiechnięte i rozjaśnione, poczynają się



Pomiędzy „Dwie siostry”. Motyw z drogi z Belgradu do Niszu.



Nisz. Wejście do fortecy.

bawić z plantem kolei w figlarną łapankę; to zbiegają się tuż do nasypu, zamykając go w kłamy szumiących ścian, to rozbiegają się w dal, pozostawiając otwarte pola, użyźnione wstążkami bełkocących strumyków i skibami zabiegliwej ręki ludzkiej i zielone doliny, przystrojone białymi buketami wieśniaczych osad.

Pierwsze sioła dają bardzo dodatnie wrażenia. Domki murowane, zdobne kraśnemi malowidłami, kryte wyłącznie dachówką niosą miłe uczucia schłodności, dobrobytu i starannej pieczołowitości.

W zielonej sfalowanej przestrzeni, skupione w jarach lub powieszzone na krawędziach pagórków, śmieją się białemi plamami wesela, boleśnie przeciwstawiając się w mojej pamięci smutkowi i melancholji, jakie płyną od naszych starych chat polskich.

Intensywne słońce południa i ogólne linje struktury czworobocznych zabudowań, pokrytych czerwienią dachówki i oplecionych powojem winogrodu przenosi nas wyobraźnią w okolice południowej Francji i tylko odmienna konfiguracja terenu i odrębny strój wieśniaczy nie pozwalają nam zapomnieć, że jesteśmy na Bałkanie.

Za przejazdem pociągu, z domków, ogrodów, opłotków wysypują się barwne gromadki kobiet, biegnących radośnie na powitanie dymiącego gościa. Wymachują rękami, powiewają chustkami i weselo pokrzykując, wołają: *na zdrawle!* przejeżdżnym.

Z okien wagonów wychylają się głowy żołnierzy, jadących pod Adrjanopol i odpowiadają buńczucznie: *na srbsku slawu!*²⁾

Za kobietami drepcą różnokolorowe, pękate figurki wiejskich dzieciaków. Spóźnione, kołyszą się pospiesznie w swych obszernych kryptach, jak na rogatych łodziach normandzkich, dobiegają za późno i krzyczą za ostatnim wozem piskliwym sopranem wysiłonych gardziółków: *na zdławle! na zdławle!*

Na krajach wsi, na halach wzgórz pasą się trzody czarnych świnek i gromady wełnistych owiec a między niemi przechadzają się pęki flegmatycznych wron. Łoskot pociągu płoszy chmurę ptactwa, które podlatuje nie wysoko i ustępuje się nie daleko, kracząc przeraźliwie.

Poważne psy, siedząc na zadach, pilnują ładu w społeczeństwie.

Wszystko naokół oddycha spokojem i pogodą. Zda się, że jedziemy krainą błogosławioną,

która nie wie co to lęk i co troska i cała w wygodnym zadowoleniu kąpie się w słońcu i owocach skrzętnej pracy.

Tylko trzeba patrzeć w dal.

Bo przy nas, tuż przy nas wojna jeży się stalowemi ostrzami bagnatów i skarży się jękiem rannych żołnierzy i bladeścią schorowanych lic.

Całej linii kolejowej od Belgradu do Niszu strzegą patrole znanego wam już „trzeciego powołania“.

Co chwila miga pod oknem wagonu wysoka barania czapica i niebotyczny karabin wieśniaka, który niewzruszonym krokiem przemierza tor od budki swojej, skleconej z uschłych łodyg kuku rydzy do budki sąsiada, ulepionej z gliny.

Zimno się robi na myśl o nocy ciemnej, rozhulanej wichrem i śnieżycą, którą owi ludzie spędzają w tych ażurowych schroniskach.

Około mostów i tunelów kupią się całe „wioski“ takich prymitywnych szałasów z przedymionymi szczytami i ze śladami cygańskiego życia ich mieszkańców.

Jakiś siwy *seljak* pierze nie bardzo całą bieliznę w kotle, w którym się zresztą zupa gotuje w porach posiłku, jakiś drugi, siedząc na ziemi po turecku, napróżno ciężką ręką bodzie otwór igły, jakiś inny karabinem rozgrzebuje węgle, wydobywa spaloną rzepę i chrupie ją mżolnie, zamykając oczy i przechylając głowę z wysiłku.

Na stacjach — także schłodnych, zgrabnych murowanych — ścisł panuje nie do opisania.

Jesteśmy w Palance.

Tłum różnolity, ruchliwy, rozgadany kłębi się w ciasnym przesmyku między budynkiem dworcowym a wagonami pociągu.

Gromady żołnierzy w serbskich i rosyjskich szynelach³⁾, objuczone węzełkami i tobołkami rzucają się do wozów, szturmują do przedziałów gorączkowo bezładnie — nie rozróżniają klas, nie widzą przepelnienia — przemocą zdobywają sobie miejsca. Spieszno im do *komandy*.

Długim, żalonym łańcuchem ciągną matki, ojce, siostry — ustawiają się pod wagonami i w ogólny hałas ciżby wpadają bolesną nutą płaczu i lamentu.

¹⁾ Zbocza na których leżą twierdza belgradzka i twierdza austriacka w Jemuniu. Przedzielone są tylko Dunajem.

²⁾ Na chwałę Serbji! (jadą na chwałę Serbji).

³⁾ Armji serbskiej zbrakło mundurów. Rosja przysłała płaszcze.



Nisz. Plac ks. Michała, centrum miasta.

Pomiędzy pstrokate zapaski kobiet i szerokie hajdawery mężczyzn przeskakują się zwinne chłopaki, giętkie jak piszorki i krzykliwym dyszkantem zachwalają znakomitość palankowskich placów.

Oficerowie 7-ego pułku piechoty, który jedzie z nami, odnajdują swoich kolegów, witają się głośno i całują.

Dziewczęta z miasta, stojąc na uboczu szepcą sobie rzeczy ważne i rzucają nieznacznie oczyma na bohaterów pułku, który się najwaleczniej w całej wojnie sprawił i największą ilość trupów i rannych rozsiał po polach Macedonji.

W jednym z przedziałów jedzie orszak ślubny—roześmiany, rozśpiewany—strojny białymi sukniami, czarnymi surdutami, bukietami kwieciami i czerwienią lic tak gorących, jak gorące było wino, które lało się do rana.

Orkiestra cygańska wychodzi na jego spotkanie, łokciami robi sobie miejsce w tłoku i uderza w tamburiny, wybuchając nutą zawodzącej pieśni pełnej skarg i mimicznej interpretacji.

Z wagonu odpowiadają nowożeńcy weselnym pohukiem, a ten miesza się z rykiem wółów, stłoczonych w pociągu towarowym, idącym pod *Jedrenę*⁴⁾ w jedną ogłuszającą dysharmonję.

Konduktor traci głowę—obiega, zaprasza, rozdziela, wyrzuca—żołnierze wieszają się buforów (!), siadają na dachach wagonów (!)—

Dzwoni dzwon kolejowy trzy razy, jak na trzykrotny ratunek—

— *Gotowo!* woła urzędnik dyżurny, przeskakując przez pakiety pocztowe i gwizdząc donośną świstawką—i długi wąż czerwonych wagonów⁵⁾ roztrąca fale tłumów i wolno wytacza się w otwartą przestrzeń.

Nareszcie jest cicho!..

Płyniemy zrazu brzegiem miasteczka i konstatujemy kontrast, jaki zachodzi między wsią serbską a miastem.

Gdy wieś dała nam wrażenia miłe wręcz nadzwyczajne i zgoła nieoczekiwane, miasteczka serbskie smutnie się temu jasnemu obrazkowi przeciwstawiają.

Zaniedbane, zadymione, walące się domostwa grupują się bez planu, krzywe, dziurawe, nieuregulowane uliczki płaczą się bez celu, kurz i błoto po odwiecznych bajorach, brud i opuszczenie wśród zabudowań kołą oczy nędzą swych opieszalszych mieszkańców.

Lecz jest przytem jedna rzecz charakterystyczna, dotycząca wszystkich miast serbskich, jakie dotychczas poznałem, nie wyłączając nawet Belgradu i Niszu: centrum przedstawia się zawsze znacznie gorzej od dzielnic na obwodzie leżących.

Rzecz się tem tłumaczy, że podczas gdy rdzeń miasta sięga zazwyczaj czasów tureckiej gospodarki, kiedy to *miasta nie były zamieszkałe przez Serbów*⁶⁾, lecz przez żywioł różnojęzyczny, złożony z Turków, Ormian, Greków, Żydów i Cyganów—przedmieścia powstały



Straszny trofej z okolic Niszu. W wojnach o niepodległość (1809), Serbowie bronili się w szańcach pod Niszem. Gdy jeden z szaniców upadł, Stefan Singelcz wysadził prochy, szaniec, serbów i zwycięskich Turków w powietrze. Turcy z 1024 czaszek poległych Serbów „zbudowali” tryumfalną basztę, z której dochował się jeszcze ułamek przedstawiony na naszej rycinie.

w okresie późniejszym i wzniesione już zostały wyłącznie przez Serbów. Mają też one charakter więcej wioskowy i jak wsie serbskie są czyste i przyjemne dla oka.

Wnet za Palanką schodzimy się z Morawą, która płynie stosem pacierzowym całej Serbji, jest u ujścia tak duża, jak Wisła pod Sandomierzem i wpada do Dunaju.

Krajobraz wzbogaca się refleksami jej wód, które przewijają się w łukach nieustannych i zgięciach okrągłych dookoła planty i oblewają zbocza gór—gór owianych legendą, ośpiewanych pieśnią ludu i przeglądających się szafirem swoich szczytów w ruchliwym zwierciadle rzeki.

Płynąc tak przeciw prądowi Morawy, lecz zawsze w jej blizkiem towarzystwie, z zapadającym wieczorem zawijamy do Niszu, przejechawszy blisko 800 klm. i przeciąwszy całą niemal Serbję od północy do południa.

Jakie jest ogólne wrażenie z pierwszego etapu podróży? — że niema już legendarnej Serbji! — najeżonej koleciami granitowych skał, zacienionej gąszczem nieprzebranych lasów i zamieszkałej przez plemię na wpół dzikie, które miało pistolet u pasa, a nóż w oczach—że nie ma już trupów zakłutych kindziałem, spalonych wsi i pól leżących odlogiem, po których przelatywały czarne stada żarłocznych ptaków i posłuszne ludowej fantazji wyjadały serca poległym bohaterom Zemsty, albo je zanosily w skrwawionym dziobie nieutulonej w płaczu kochance.

Być może, że kiedyś było tutaj tak dziko i tak... ładnie. Tak śpiewa przynajmniej legenda. Lecz dziś jest inaczej.

Serbja wstała już oddawna do pracy i zrobiła wiele.

Mieczysław Jelowicki.

⁴⁾ Jedrena po serbsku Adrijanopol.

⁵⁾ Wagony państwowych kolei serbskichomalowane są na kolor czerwony.

⁶⁾ Za czasów tureckich serb był tylko włościaninem. Żywioł mieszczański był pochodzenia obcego. Dzisiejsze mieszczaństwo serbskie jest wytworem ostatnich lat i rekrutuje się ze wsi.

WYSTAWA RZEŹB KONSTANTEGO MEUNIER W TOW. ZACH. SZTUK PIĘKNYCH.

Na otwartej obecnie wystawie w gmachu Tow. Zachęty Sztuk Pięknych ma publiczność warszawska sposobność zapoznania się z większą kolekcją prac jednego z najbardziej oryginalnych, nowatorskich, twórczych rzeźbiarzy, jakich wydała sztuka europejska, tak obfita zresztą uschylku ubiegłego wieku w rozliczne talenty,—z kolekcją prac Konstantego Meunier'a. Rzeźby te, w odlewach bronzowych, umieszczone w oddzielnej, pięknie w zieleni przybranej sali, skupiają też wokół siebie najwięcej widzów, którzy ze skupioną uwagą śledzą kierunek drogi, przyczyn i skutków tego niezmiernie intensywnego ruchu, który treścią jest istotną i powołaniem do życia wszystkich tych mocnych postaci, a przytem także dziwią się potrosze, jak rzeczy tak codzienne i brzydkie, jednak zagrać potrafią na wszystkich niemal strunach uczuciowych i tak bogaty wywołać potok myśli. Widzimy tu jakby jakiś nowy świat, nową stronę życia—odnośnie do treści, a nowy rodzaj ekspresji artystycznej—odnośnie do formy. Znaczenie Meuniera dla rzeźby współczes-

nej jest też niesłychanie doniosłe; cześć i sława, jaką otoczono mistrza u schyłku jego życia zupełnie była zasłużona;

lecz doszedł on do tego dopiero po przebyciu długiej i cierpiącej drogi, po ciężkich walkach i zmaganiu się z sobą, z ówczesnymi prądami sztuki, z warunkami bytu.

Konstanty Meunier urodził się w r. 1831 w Brukselli. Kształcił się początkowo przez czas dłuższy u rzeźbiarza Fraiklina, lecz wobec pseudoklasycyzmu swego mistrza i panującego jeszcze wówczas konwencjonalizmu form poznał w końcu, że w takich warunkach w rzeźbie nie może się wypowiedzieć i zwrócił się do malarstwa. W tymże czasie bowiem Millet pierwszy wprowadził do krajoobrazu znowu żywe figury, wprowadził wieśniaków przy pracy w polu, porzucił pracownię i malować począł z natury. Dla malarstwa nowe otwierały się perspektywy, nowe nasuwały się środki wypowiedzenia. Meunier, który zawsze silnie zdradzał skłonności naturalistyczne, tutaj przynajmniej w części mógł być sobą. Malował sceny rodzajowe, typy wieśniaków na tle krajoobrazu, rozwinał całe swoje poczucie prawdy realnej. Zasłynął przytem jako doskonały rysownik, i to



K. Meunier. (Tow. Z. S. P.) Robotnik.



K. Meunier. (Tow. Z. S. P.)



Kośnik. K. Meunier. (Tow. Z. S. P.)

(Fot. W. Orłowski).

Pucier.

spowodowało, że otrzymał zaproszenie do współpracownictwa nad wielkim dziełem ilustrowanym o Belgji. Wtedy to nastąpił nowy zwrot w jego życiu.

Przeniósłszy się na pewien czas dla wykonania swego zadania do Loewen, znalazł się Meunier w centrum belgijskiego, tak silnie rozwiniętego ruchu przemysłowego i kopalnianego. Ten świat, to życie jakie tutaj poznał, silnie wywarły na niego wrażenie. Od malarstwa powrócił znowu do rzeźby, albowiem odkrył teraz formy i nasunęły mu się idee, jakie tylko w rzeźbie dają się wypowiedzieć. Zerwał z wszelkim szablonem—i z natury, albo raczej pod własnym, nowym kątem widzenia, rzeźbić począł robotników kopalnianych i fabrycznych, dalej konie kopalniane, później wieśniaków, rybaków, podchwytyjąc szczególnie ruch i wyraz ludzi przy cięż-

kiej pracy. Tworzył gorączkowo; z chwilą, gdy tę nową, własną odnalazł drogę, miał już 45 lat, więc tworzył jakby w obawie czy zdoła jeszcze cały nagromadzony teraz zasób myśli wypowiedzieć. Spotykane często zdanie, że Meunier, który pierwszy do rzeźby wprowadził świat robotniczy, ludzi ciężkiej pracy, był zarazem pierwszym socjalistą w rzeźbie, jest z gruntu fałszywe, albowiem w dziełach jego niema żadnej skargi, żadnego akcentu agitacyjnego lub też taniego sentymentu, ale za to wyczuć w nich można ideę *godności* pracy i chęć wykazania znaczenia, jakie praca tych ludzi posiada dla reszty społeczeństwa. Wskazują na to wyraźnie także liczne jego płaskorzeźby, niekiedy, jak n. prz. „Przemysł hutniczy“ symbolicznie pojęte, a szczególnie największe dzieło jego życia: stworzenie modelu do olbrzymich rozmiarów pomnika „Pracy“.

Rzecz charakterystyczna, że to właśnie belgijczyk stał się tak wybitnym poetą pracy, mieszkaniem kraju, w którym praca ludzka oddawna w wielkim już była poszanowaniu.

Meunier umarł w r. 1905, lecz dzieła jego przetrwają wieki. Z rzeźbą grecką, z którą on sam zerwał zupełnie, posiadają one jednak jedną wspólną cechę, mianowicie pewnego rodzaju monumentalność. I jak pierwsze pozostały poniekąd pomnikami ówczesnego ideału doskonałego piękna, tak rzeźby Meuniera pozostaną również charakterystycznymi pomnikami współczesnego życia i coraz bardziej doskonalącego się *pojęcia* „Pracy“. Wystąpienie przez zarząd Zachęty o wystawienie większej naraz kolekcji dzieł Meuniera, jakkolwiek drobną tylko stanowiącej część ogromnej spuścizny wielkiego mistrza, zasługuje w całej pełni na uznanie. *Feliks Lubierzyński.*

Wystawa ś. p. Aliny Grabowskiej w salonie Richlinga.

Grono osób bliżej znających zmarłą ubiegłego roku artystkę-malarzkę, Alinę z Korabiewiczów Grabowską, urządziło pośmiertną wystawę dzieł utalentowanej artystki w „Salonie Richlinga“.

Urodzona w roku 1875, w gub. kowieńskiej, Alina Grabowska kształciła się pod okiem Kazimierza Alchimowicza i Władysława Ślewińskiego. Liczne wyjazdy do Francji i Włoch podbudzały żywy jej umysł do sumiennych studjów. Z zebranych około 40 prac przedwcześnie zmarłej artystki, zajmująco przedstawiają się szkice i notatki akware-



Ś. p. Alina Grabowska.
(Autoportret).

lowe z Kazimierza, Kowieńszczyzny, Zakopanego i Wenecji. Przebija z nich subtelna, kobieca wrażliwość kolorystyczna, wznosząca się na wyżyny dojrzałości artystycznej. Portret własny i duży kobiecy portret, traktowany swobodnie i z dużą techniką rysunkową wykazują również szukanie dróg indywidualnej twórczości. Pośmiertna wystawa ś. p. Grabowskiej, wzbudza serdeczny żal, iż te szczerze, pogodne, owiane zadumą litewskiej ziemi oczy artystki przestały patrzeć na swą ziemię i ludzi.

m. d.

Sz. Prenumeratorów, którzy nie uiszcili reszty pełnej przedpłaty na I-szy kwartał, prosimy o regulowanie zaległości, bowiem wysyłka pisma może uleść zwłoce.

Przypominamy, że czas odnowić prenumeratę na kwartał II-gi.

Do niniejszego numeru dołączamy dla prenumeratorów zamiejscowych przekazy pocztowe i dołączymy jeszcze do następnego numeru, prosząc o użycie jednego przekazu do przesłania należności na odnowienie prenumeraty i łaskawe rozdanie zbywających — znajomym, w celu zjednania nam nowych przyjaciół pisma.

Dla nowych prenumeratorów, którzy przybyli w r. bież., odstępujemy komplety „Złotego Rogu“ za rok 1912 po rb. 2 z odbiorem na miejscu i po rb. 3 z wysyłką pocztową.



Teatr Polski.

(Fotogr. J. Malarski i K. Tavrell.)

„Krakowiacy i Górale“.

TEATR POLSKI.

„Krakowiacy i Górale“.

Potężny dramat Krasinińskiego — „Irydjon“... satyra Nowaczyńskiego — „Nowe Ateny“... i w końcu zabawka dramatyczna Jana Nepomucena Kamińskiego „Zabobon, czyli Krakowiacy i Górale“ z muzyką Karola Kurpińskiego — oto cośmy dotychczas widzieli na najmłodszej i bodaj że sięgającej już po palmę pierwszeństwa sympatycznej scenie Teatru Polskiego. Uszczekneliśmy już stamtąd trzy owoce a każdy z innego drzewa; pierwszymi dwoma podzieliłiśmy się z wami dawniej szanowni czytelnicy: wiecie że „Irydjon“ odniósł sukces, że „Nowe Ateny“ po wycięciu pewnych robaczywości zyskały powodzenie, pozostaje ostatnie z tych trojga — rumiano-złote jabłuszko, zrodzone wśród tych polskich sadów, okalających zielonym wiankiem gospodarskie obejście z mchem pokrytymi strzechami, na których gołębie gruchają, a niżej na zagonkach ogródka łagodnie astry pogodą barw uśmiechają się do nas, zaś płomienne maki dumną czerwienią wynoszą się ponad innym kwieciami, ówdzie potężny słonecznik tylko złotą tarczy słońca na błękitach nieba, kłania się uniżenie... Wśród takiej sielskości, wśród aromatu polskich sadów, łąk i pól, spędziłiśmy cudne niezapomniane chwile na tych po stokroć naszych „Krakowiakach i Góralach“.

Sztuka ta, grana po raz pierw-

szy, 119 lat temu a w r. 1816 z gruntu przerobiona, dziś jeszcze czarem wspomnień i poezji swej urokiem pociąga. Myśli pięknej nie zatrą dziesiątki lat, jeżeli ona ponad te dziesiątki sięga. A myślą przewodnią utworu Kamińskiego — wolność, błogosławiona i święta patronka najszczytniejszych czynów. Rozumie się, przeprowadzenie myśli ujęte jest w nieco naiwne formy — ależ pamiętajmy kiedy utwór był pisany! A zresztą naiwność ta w miłej acz prostej oprawie sztuki jest doprawdy jej szczyrem i serdecznym wdziękiem. Najsilniejszym tonem uderza w struny naszych serc chwila, gdy w końcu ostatniego aktu szlachetny nowy dziedzie, który sam przeszedł już w życiu różne koleje losu, obdarza swych poddanych złotą wolnością...

Działo się to ongi... I pono slychać było wówczas jakby potężniejszy poszum srebrzystych orlich skrzydeł — hen z ponad szczytów Karpat jaśniejących nad polską ziemią.

Budziły się wtedy nadzieje — wiara w naród wstąpiła.

...Wschodziło radosne słońce, promienny zwiastun błogosławionej konstytucji...

Biły wszystkie serca, a myśli jak sokoły leciały ku szczytom na perć tęczową, na szlaków przestrzennych szafiry — ku słońcu!

Oklaskom nie było końca, bo też zasłużyła na to dyrekcja, reżyserja i aktorzy znakomite-

go teatru, wśród których należy wyróżnić sympatyczną naturalną grę Leszczyńskiego, szczerzy humor i jowialność Maksymiljana Węgrzyna, a przede wszystkim siłę wyrazu w grze Józefa Węgrzyna, obdarzonego zaiste spiżowym głosem. Że artyści dramatyczni szczęśliwie wywiązali się z popisów wokalnych to już w dużej mierze jest zasługą dyrygenta orkiestry prof. Opieńskiego. Dekoracje pomysłu Frycza, doprawdy zasługują na miano arcydzieł w swoim rodzaju.

Czołem wam wszystkim za wasz pietyzm dla sztuki — za wasze trudy i talent! W. Z.

TEATR MAŁY.

„Miłość czy szpada?“

Na scenie teatru Małego, ujrzeliśmy w środę trzyaktowy pojedynek, osnuty na tle miłosnym, pomiędzy p. Dartois a piękną i w ruchu feministycznym żywy udział biorącą, hrabianką Iwoną. W pojedynku tym zgoła oryginalnym i obfitującym w niezwykle ciekawe sytuacje, zamiast szpad, skrzyżowały się z sobą dwie wole, o różnej istocie. A że rękę mężczyzny kierowała prawdziwa, gorąca miłość, więc obrażona ambicja nieprzystępnej hrabianki, rozchmurzyła się w końcu, w uśmiech kochania. P. A. Lipczyński grał świetnie i z wielkim umiarkowaniem rolę zakochanego Dartois, a urocza Miła Kamińska dzielnie mu sekundowała. J. A.



Jan Łysakowski,
prof. Warsz. Tow. Muzycznego.

„Dzieci dla dzieci“.

Sekcja Muzyki Zbiorowej przy Warsz. Tow. Muzycznym, której prezesem jest znany kompozytor i akompanjator p. Feliks Starczewski, wciąż ujawnia niestrudzoną pracę, szerząc z prawdziwą umiejętnością kult dla muzyki, bądź organizowaniem popisów koncertowych, bądź środkami pedagogicznymi wpływając na rozwój talentu uczniów i uczennic.

Aż nadto wyraźnym tego dowodem był koncert w ubiegłą niedzielę, zorganizowany z pomiędzy najmłodszych, o sympatycznej nazwie „Dzieci dla dzieci“. Na I-szą część koncertu złożyły się popisy muzyczne i wokalne, na drugą—„opera“ dziecięca: „Siedmioro kozłat“.

Koncert wzbudził nie tylko wśród milusińskich wielkie zajęcie, lecz i rodzice i opiekunowie i pedagodzy oraz sfery artystyczne zainteresowały się koncertem, bowiem gdy tak świetni profesorowie objęli kierownictwo jak J. Łysakowski (dział muzyczny) i K. Pomian (reżyserja) nie mogło być już wątpliwości, że impreza się uda.

Rozpoczął koncert chór dziecięcy pod znakomitą kierunkiem prof. Łysakowskiego, a dalej szły popisy: fortepianowy siedmioletniej dziewczynki, uczennicy prof. p. Matulewiczowej, gra na skrzypcach mało co starszego dziewczątka, uczennicy młodocianej nauczycielki, p. Haliny Balińskiej, która studjuje grę skrzypcową pod kier. prof. Michałowicza, duet śpiewaczy dziewczynki i chłopca

i deklamacja dziewczynki a w końcu baśń muzyczna A. Humperdincka „Siedmioro kozłat“, z librettem Adelhaidy Wette, w tłumaczeniu St. Zaborskiego, wykonana przez chór dziecięcy Sekcji Muzyki Zbiorowej pod dyrekcją prof. Łysakowskiego i z miłym akompanjamentem p. Z. Chudzikiej. Reżyserja „oper“ stanowiła zasługę prof. Pomiana.

Wszystkie wspomniane popisy świadczą nad wyraz pochlebnie nie tylko o zdolnościach młodocianych wykonawców, lecz przede wszystkim o umiejętnej, celowo prowadzonej pracy ich pedagogów.

Popisy amatorskie tego ro-



Marja Labja.

(Gościnne występy w Teatrze Wielkim).

dzaju mają bezsprzecznie doniosłe znaczenie pedagogiczne i stanowczo należałoby je jaknajczęściej urządzać, jednakże by nie wzbudzać w dzieciach przedwczesnych ambiczyjek z ich niemal nieodłącznymi wadami w tym wieku—jak zarozumiałość, zazdrość i t. p., nie powinno się oddzielnych kompletów lub solistów obdzielać oklaskami a dopiero po koncercie możnaby wszystkie dzieci razem wraz z profesorami nagrodzić ogólnym mniej lub więcej rześistym oklaskiem. W prasie również, dla tychże względów, nie jest pożądaną by po koncercie z nazwiska wymieniać dzieci, należąc się to może tylko profesorom, co do milusińskich zaś, wystarczy bardziej ogólna krytyka o całości koncertu. Z.



Kazimierz Pomian,
prof. Warsz. Tow. Muzycznego.

Uroczą prymadonna.

W operze warszawskiej występuje znakomita śpiewaczka, Marja Labja, czarując nie tylko imponującym głosem, lecz i rzadkim urokiem niezwykle wdzięku i urody.

Na szczególne wyróżnienie zasługują jej występy w „Rycerskości wieśniaczej“, „Pajacach“ i „Violecie“.

Uroczą prymadonna nie tylko ma głos niepospolity, lecz i gra jej, pełna wyrazu dramatycznego, czyni duże wrażenie, harmonizując z uczuciem i siłą ekspresji śpiewu.

Nie dziwnego, że p. Labja zbiera za to wszystko od swych wielbicieli oklaski i kwiaty.

Z FILHARMONJI.

Leon Fall, twórca tylu melodyjnych operetek, dyrygował dwoma koncertami w Filharmoniji. Były to wieczory, poświę-



Leon Fall.

(Koncert lekkiej muzyki w Filharmoniji).

cóne muzyce lekkiej, na program składały się głównie wyjątki z operetek Falla. Orkiestra filharmonijna pod jego umiejętną dyrekcją z zacięciem i powiewnością odtwarzała ładne te utwory, nadając im piętno prawdziwie artystyczne.

Miecz i dyplomacja.

Zachmurzony widnokrąg. Rumuńska demobilizacja. O wpływy na Bałkanach. Rywalizacja słowiańsko-germańska. Klín albański. Zbrojenia niemieckie.

Na widnokręgu politycznym, po groźnych chmurach nagle zajaśniało słońce. A zdawało się, że położenie jest gorsze i trudniejsze niż było kiedykolwiek w ostatnich czasach. I łatwe jest to do zrozumienia. Między państwami — jak między ludźmi: gdy dwaj boczają się wzajemnie i przed trzecie osoby wytaczają swe pretensje, to mimo że ich skargi i narzekania przybierają czasami formy bardzo ostre, można mieć nadzieję, iż prędzej czy później jakoś się pogodzą. Ale gdy przystąpią do omawiania kwestji spornych bezpośrednio między sobą, choćby nawet w formie najwykwintniejszej, a nie dojdą do porozumienia, to według wszelkiego prawdopodobieństwa wcześniej czy później wybuchnąć musi między nimi zatarg.

Tak też sprawa stała między Austrią a Rosją. Po długich skargach i narzekaniach, przystąpiono do porozumienia się w spornych kwestjach. Wyra-



Kawalerja powstańcza w Meksyku.

zem tego porozumienia miała być „demobilizacja“ obustronna, to jest rozpuszczenie wojska, utrzymywanego obecnie pod bronią ponad zwykłą liczbę, przyjętą dla tak zwanego „stanu pokojowego“. Zapowiadano, że demobilizacja będzie uroczystie obwieszczona światu całemu. Na to obwieszczenie czekano przez dwa tygodnie z łatwo zrozumiałą niecierpliwością. Wreszcie świat się dowiedział, iż owego upragnionego obwieszczenia nie będzie, bo... bo rządy Austrii i Rosji nie mogą porozumieć się co do formy, w jakiej ma ono być zredagowane.

Dla niewtajemniczonych — zagadka. Jako, więc za nieudolność tych, co nie umieją zredagować „komunikatu demobilizacyjnego“ mocarstwa interesowane mają wydawać miliony,

setki milionów, a świat cały drzeć pod brzemieniem obaw o wojnę, mogącą lada chwilę wybuchnąć?...

Niestety — tak, Tylko powód tego wszystkiego jest pozorny. To nowa sztuczka dyplomacji, wynaleziona w ostatnich czasach. Wszyscy dziwili się, że w zatargu o Maroko między Niemcami a Francją, spór toczył się o taką bagatelę jak ustalenie porządku dziennego obrad w tej kwestji. O ten „porządek dzienny“ omal nie doszło do wojny. Ale wtajemniczeni wiedzieli, że dyplomacja dzisiejsza w najważniejszych sporach wysuwa zawsze jakiś punkt podręczny, ledwie z zasadniczą kwestją związany, i o ten punkt się spiera. Gdy Niemcy zmuszone były we wspomnianej wyżej kwestji marokańskiej ustąpić Francji co do... porządku dziennego obrad — to oznaczało, że Niemcy ustępują na całej linii w sporze o wpływy w Maroku.

Teraz takim punktem podręcznym była „redakcja komunikatu demobilizacyjnego“ a rzecz idzie o sprawy bardzo ważne, tak ważne iż od nich zależy ukształtowanie się stosunków międzypaństwowych a ponieważ i międzynarodowych w Europie: o wpływy na Bałkanach, o rywalizację świata słowiańskiego ze światem germańskim.

Na bieg tych spraw niewątpliwie wpływają wielce wypadki bałkańskie. Dla Turków rzeczą tylko honoru wojskowego był dłuższy lub krótszy opór



Po pożarze dzielnicy Tophane w Konstantynopolu. Poszukiwania wśród gruzów.

Janiny (która, jak wiadomo, została już zdobyta przez wojska greckie) lub obleganego dotychczas Skutari; obojętnym jest dla nich, kto zajmie te warownie, grecy, czy serbowie. Ale dla sporu austro-rosyjskiego to rzecz niesłychanie ważna. Austria chce wbić klin w tworzący się organizm słowiański na Bałkanach. Klin ten to Albania. Jego zadaniem ma być rozbięcie związku, osłabienie słowian. Po Albanii Austria oczekuje tego samego, czego na zachodzie słowiańszczyzny dokonały Węgry: rozdzieliły, rozbiły słowian, osłabiły ich.

Dlatego to o niezawisłość Albanii tak usilnie zabiegają Niemcy, wypychając Austrię, jako przodowniczkę germańskiego „naporu na Wschód“.

Sprawa „redakcyjnego komunikatu“ zepchnęła inne kwestje na plan dalszy. I nikt nie pytał, kiedy bułgarzy wezmą Adrianopol, lecz kiedy — i czy zarządzona będzie demobilizacja na granicy austriacko-rosyjskiej.

Na szczęście, ów upragniony komunikat pojawił się najzupełniej niespodziewanie, a towarzyszy mu wyjaśnienie, że Austria nie ma zaczepnych zamiarów względem państw bałkańskich. Znaczyłoby to, że w dyplomatycznym pojedynku, świeżo stoczonym, Rosja odniosła zwycięstwo na całej linii.

Niemcy — napozór — nie wtrącają się do sporu austriacko-rosyjskiego. Ale za to zbroją się na gwałt, kosztem olbrzymich wysiłków. Na powiększenie armji państwo zamierza wydać jednorazowo miliard rubli; a utrzymanie tych dodatkowych szeregów kosztować będzie w

przyszłości 200 milionów rocznie. Straszne cyfry. Tem straszniejsze, że to są tylko przygotowania do wojny. Cóż kosztować będzie wojna sama?...

(h. m.)

Wstrząsająca katastrofa torpedowca.

Olbrzymia różnica w wielkości pancerników i torpedowców lub łodzi podwodnych, pełniących łączną służbę wojenną na wodach mórz i oceanów, jest przyczyną wielu katastrof przy przypadkowych starciach olbrzymów z ich małymi towarzyszami służby.

Przed kilkoma dniami właśnie, podczas przepływu przez kanał cesarza Wilhelma, starł się z pancernikiem „York“ torpedowiec ochrzczony „S-178“ dla łatwiejszego orjentowania się oznaczony na zewnątrz tylko cyfrą „78“. Zderzenie było fatalne, torpedowiec, rozcięty przez pół, w parę

sekund zatonął i tylko kilkunastu ludzi z załogi zdołano wyratować, kilkudziesięciu zaś utonęło.



Prenumeratorko — wieśniaczo. Z nadesłanej „noweli“ nazbyt osobistej nie jeszcze sądzić nie można. Prosimy o nadesłanie innych utworów.

E. M. Bojanowskiemu. Tego rodzaju spraw nie załatwiamy. Należy się zwrócić do któregośkolwiek bądź adwokata.

Jurowi. Temat nadesłanego artykułu nie nadaje się do „Złotego Rogu“. Rękopis zachowany do zwrotu.

Czytelnikowi z Kapucyńskiej. Adres „Złotego Rogu“ umieszczony jest na pierwszej stronie tekstu pod tytułem i na ostatniej stronie tekstu.

E. Jakubowskiemu. Denar Jana Kazimierza — wart 5 kop. Monetę może Sz. P. odebrać w administracji naszego pisma.

Samochód-sanki.

Ulepszenia w dziedzinie komunikacji samochodowej walczą o lepsze z ulepszeniami w dziedzinie awjatyki. Gdy zaczęto już budować aeroplany, mogące „lądować“ na wodzie i posuwać się nawet po jej powierzchni, samochody dłużej nie pozostały, wprowadzono tam bowiem nowość techniczną, polegającą na dostosowaniu odpowiednich łyżew, pozwalających „saneczkować“ samochodom po śniegu. Więcej chyba narazie nie potrzeba.



Ostatni wyraz techniki: saneczkowy samochód na śniegu.

Konkurs na ołtarz.

Komitet budowy kościoła Zbawiciela ogłosił w listopadzie r. z., za pośrednictwem koła architektów, konkurs na projekt wielkiego ołtarza, w stylu harmonizującym ze stylem samej świątyni. Koszt ołtarza z marmuru i bronzu określono na 40,000 rb. Na konkurs nadesłano jedenaście prac. Sąd konkursowy stanowili p.p. ks. prałat Roman Rembieliński, proboszcz parafji Zbawiciela; Zygmunt Otto, artysta-rzeźbiarz;



Michał Opieliński,
architekt, otrzymał I-szą nagrodę za projekt wielkiego ołtarza dla kościoła Zbawiciela.

Ś. p. Marja Golczewska.

Zmarła zasłużona działaczka na polu nauki i pracy społecznej ś. p. Marja Golczewska, córka Michała Arcta właściciela księgarni.

Duże są zasługi ś. p. Golczewskiej w dziedzinie popularyzacji wiedzy, a osiągała umi-



Ś. p. Marja Golczewska.

Karol Jankowski, Władysław Marconi i Ludwik Panczakiewicz — architekci. Sędziowie w powyższym składzie przyznali nagrodę I-szą w sumie 300 rb. pracy oznaczonej № 5, nagrodę zaś II-gą w sumie 200 rb. pracy № 2. Oprócz tego wyróżnili projekty oznaczone № 7 i 9. Po otwarciu kopert okazało się, że autorem projektu № 5 jest p. Michał Opieliński, architekt z Warszawy, projektu № 2 — p. Stefan Zwolanowski, architekt również Warszawy. Z projektów wyróżnionych nazwisko ujawnił autor projektu № 9, jest nim p. Bogumił Rogaczewski, architekt z Warszawy.

Wszystkie prace na konkurs nadesłane wystawione są na widok publiczny w sali Stow. Techników. K.

Japoński gość w Warszawie.

W tych dniach Warszawa gościła w swych murach japońskiego uczonego, profesora jednego z tamtejszych uniwersytetów, znanego chirurga japońskiego d-ra R. Torikatę z Osaka.

Gość z dalekiego wschodu przyjechał do Warszawy w celu zaznajomienia się z tutejszymi urządzeniami chirurgicznymi, to też krótki swój pobyt

poświęcał wyłącznie zwiedzaniu szpitali, lecznic, sal operacyjnych, Pogotowia ratunkowe-



Dr. R. Torikata z Osaka,
japoński gość w Warszawie.

go i t. p. oraz naradom z szeregami naszych chirurgów. Między innymi zamierza dr. Torikata zorganizować pogotowie ratunkowe w Japonji na wzór naszego Pogotowia z urządzeniem którego, zapoznawał się z szczególnem zajęciem.

Z Warszawy podążył sympatyczny nasz gość dla dalszych studjów do Petersburga i Moskwy oraz innych większych miast Rosji.

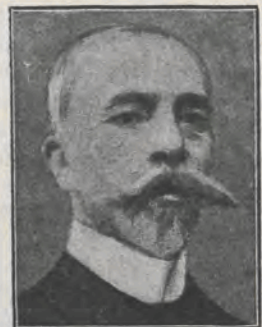
łowany cel przez wydawanie tanich, świetnie opracowanych podręczników i broszurek. Na szczególną uwagę zasługują przede wszystkim jej własne podręczniki z dziedziny nauk przyrodniczych, z których wiele doczekało się kilku wydań („Podręcznik do nauki botaniki“, „Botanika na przechadzkach“, „Wiosna“ i t. d.) Zaznaczyć również należy, że zmarła była jedną z założycielek Tow. kolonji dla kobiet pracujących. Cześć jej pamięci.

Ś. p. dr. Seweryn Kniaziółucki.

W Wiedniu zmarł ś. p. dr. Seweryn Kniaziółucki, były kierownik ministerjum skarbu oraz szef sekcji przy ministerjum.

Dzięki wpływom i staraniom Kniaziółuckiego zniesiono w Austrii stempel dziennikarski. Stempel ten był ciężkim jarzmem dla całej prasy, to też dopiero

po zniesieniu go dziennikarstwo galicyjskie wchodzi w okres właściwego rozwoju, — rozszerza się dział telegramów, zaczyna-



Ś. p. Dr. Seweryn Kniaziółucki,
b. kierownik ministerjum skarbu w Austrii.

ją wychodzić podwójne wydania dzienników — ranne i wieczorne.

I wiele jeszcze zasług położył, podczas odpowiedzialnego swego urzędowania, ten zacny człowiek, za co w społeczeństwie długo po nim pamięć nie zaginie.



Femina

MIĘDZYNARODOWA SZKOŁA PEDOLOGJI W BRUKSELLI.

W d. 5 listopada roku ubiegłego, z inicjatywy rodzaczki naszej d-ra Jotejkówny otwarta została w Brukselli wyższa szkoła, poświęcona wyłącznie naukom, badającym wiek dziecięcy i chłopcęcy.

Projekt otwarcia szkoły powyższego typu, czy choćby katedry pedologii przy którym z miejscowych uniwersytetów, powstał w Brukselli w sierpniu 1911 w czasie pierwszego międzynarodowego kongresu pedagogicznego. Ponieważ dotychczas przy żadnym z europejskich uniwersytetów nie było katedry pedologii, mogącej mieć zastosowanie w trzech przejawach życia społecznego, a mianowicie: w wychowaniu, w medycynie i w sądownictwie, przeto wiadomość o powstaniu powyższej szkoły nauk pedologicznych i psychologicznych przyjęta została z entuzjazmem przez cały inteligentny świat zachodnio-europejski.

Z punktu widzenia pedologicznego, każdy osobnik dziecięcy uważać należy za pewną całość, w której nie można oddzielić osobowości fizycznej i psychicznej od środowiska biologicznego i społecznego, (biorąc pod uwagę przeszłość dziecka, to jest czas jego ewolucji).

Wykłady przeto z tej dziedziny obejmować mają wszystkie gałęzie wiedzy, wchodzące w zakres pedologii, a więc *naukę o ewolucji dziecka, charakterologję, higienę pracy fizycznej i umysłowej, studia nad wszelkimi przejawami anomalji, metodologję, pedagogję doświadczalną, higienę szkolną i organizację opieki nad dziećmi.*

Przedmiotem ich będzie przede wszystkim dziecko normalne, nie zostaną jednak wykluczone i lekceważone dzieci, cofnięte umysłowo, nie-normalne, dotknięte neuropatją, umysłowo chore, występne. A ponieważ każde dziecko stanie się z czasem człowiekiem dorosłym, znajomość przeto antropotechnji, w najrozleglejszem znaczeniu tego wyrazu niezbędną jest dla każdego pedagoga. Dla powyższych powodów w nowo utworzonej szkole w Brukselli wykładane będą liczne

umiejętności, a program jej, obejmujący wszystkie gałęzie wiedzy ludzkiej i mający być w przyszłości (według słów zarządu) *koroną ludzkości*, różni się zasadniczo od tego, co uznane było za dobre i wystarczające w swoich programach wykształcenia przyszłych wychowawców.

Ponieważ w Belgji, zarówno jak i w Anglii i Ameryce uniwersytety i wyższe zakłady naukowe otwierać mogą osoby prywatne, i nie wskutek tego nie tracą powyższe instytucje na swojej wartości, przeto i zarząd szkoły pedologicznej ma nadzieję, że nietylko nie straci ona na tem, iż nie będzie zależała od uniwersytetu rządowego, lecz przeciwnie zyska, posiadać bowiem będzie własną autonomję.

Celem szkoły jest stać się tem dla wykształcenia wyższego, czem są tak zwane „*szkoły nowe*“ dla wykształcenia początkowego i średniego. Zależność przeto od uniwersytetu skrupowałaby w znacznej mierze zarówno programy, jak i metody, jakimi szkoła ma zamiar się posługiwać. Tembardziej że wydawane przez nią dyplomy posiadać będą wartość naukową i moralną. Programy ułożone są w ten sposób, iżby dopomódz do wyodrębnienia indywidualnej i osobistej pracy uczestniczek i uczestników, i dlatego nie są oni przeciążeni nadmierną ilością godzin, by mieć możność pracowania w seminarjach, laboratorjach, bibliotekach oraz innych szkołach.

Zadaniem pedologicznej szkoły jest uzupełnienie i dokończenie wykształcenia słuchaczek swoich i słuchaczy, posiadających dyplom z ukończenia średniego zakładu naukowego i liczących przynajmniej lat siedemnaście. Ponieważ nowo utworzona szkoła ma być zarówno centrem nauki, jak i centrem badań nad dziećmi, przeto wykształcenie w niej udzielane jest za pośrednictwem wykładów, odczytów i praktycznych zajęć w innych szkołach, w seminarjach i laboratorjach, których aż cztery posiada w swoim rozporządzeniu: *Laboratorjum pedologiczne, laboratorjum psychologii doświadczalnej, labo-*

ratorjum fizjologii i antropometri i laboratorjum chemiczne. Do składu profesorów weszli najzdolniejsi specjaliści belgijscy i cudzoziemscy, posiadający wszelkie warunki do objęcia katedry uniwersyteckiej, oraz tacy pedagogowie, którzy zdołali zyskać rozgłos w tej lub w innej specjalności, pomimo że nie mają uniwersyteckiego stopnia.

Fakt otwarcia wyższej szkoły pedagogicznej zainteresuje niewątpliwie, te zwłaszcza z pośród Szanownych Czytelniczek naszego pisma, które umiejętne wychowanie młodego pokolenia uważają za sprawę pierwszorzędną doniosłości. Z całą szczerością przyznać to bowiem musimy, iż wiele jest wśród nas kobiet wykształconych, a nawet uczonych posiadających przeróżne stopnie i tytuły: doktorów, filozofów, literatek i t.p., lecz mało wykształconych wychowawczyń. Miejmy nadzieję, że brakowi powyższemu w części przy-

najmniej zapobiegnie pedologiczna szkoła d-ra Jotejkówny. Konieczność otwarcia i brak szkoły wspomnianego wyżej typu oddawna już odczuwały rozmaite kulturalne jednostki wszystkich prawie krajów Europy, czego najwymowniejszym świadectwem był fakt obecności na wakacyjnych kursach pedologicznych, (organizowanych w Brukseli przez d-rą Jotejkównę w lipcu począwszy od roku 1909) wielu pedagogów-cudzoziemców, pragnących przynajmniej w czasie wakacji uzupełnić niedokładne swoje przygotowanie pedagogiczne. Gdyby która z Szanownych Czytelniczek zasięgnąć pragnęła bliższych o szkole informacji, to niech się zwróci listownie do jej zarządu z prośbą, o szczegółowe informacje i programy pod następującym adresem: 35, Avenue Paul de Jaer, St. Gilles — Bruxelles. Faculté Internationale de Pedologie.

E. Żypowska.

KRÓLOWE KLEJNOTÓW.

Zamiłowanie do klejnotów sięga najdawniejszych czasów, łączy się z pierwszymi objawami cywilizacji. Odkąd we wnętrzu ziemi znaleziono pierwszy brylant a przez oszlifowanie wydobyto z niego krocie blasków — właścicielką jego napewno stała się kobieta, tak niezmiernie zamiłowana we wszystkim, co podnosi jej urodę i wyodrębnia od szerszego ogółu. Klejnoty są oznaką bogactwa rodowego lub nabytego. Wielkie damy, arystokratki z krwi i kości, posiadające klejnoty rodzinne, żony lub córki milionowych przedsiębiorców lub bankierów, artystki sceniczne lub kabaretowe (femmes de concert) oto są kobiety, pomiędzy którymi szukać należy królowych klejnotów. Liczba ich jest bardzo pokaźna — bo wartość tych drogocennych kamyczków przedstawia miljarady. Najwspanialsze brylanty znajdują się w Indjach i są przeważnie w posiadaniu angieli — najpiękniejsze perły nabywa się w Amsterdamie, gdzie wogóle handel drogocennymi kamieniami doszedł do największych rozmiarów. W tym brylantowo-rubinowym, szafirowo-szmaragdowym i perłowo-opalowym świecie, znają dokładnie wszystkie okazy, wszystkie znamienne kolekcje klejnotów wszelkiego gatunku oraz ich właścicieli. Nie dosyć bowiem jest mieć lub posiadać te skarby — trzeba by o tem wiedział świat —

wtedy dopiero rozkosz i tryumf są zupełne...

Jak dalece szerszy ogół zajmuje się właścicielkami pięknych klejnotów, mieliśmy dowód po wypadku, jaki spotkał artystkę kabaretową, piękną Ga-

donosił. Kiedy sławna Otero, posiadająca niezrównanej piękności brylanty i rubiny, wychodzi lub wyjeżdża — czuwa nad nią paru detektywów a kiedy się znajduje w jakimś nocnym lokalu, to zwykle daje swą bajeczną milionową kolję, do przechowania któremuś z będących tam urzędników policji.

Na przyjęciach dworskich, gdzie damy obnoszą na szyjach i ramionach rodowe majątki, czuwa zawsze policja. Jedna kolja księżnej Pletz, posiadaczki cudnych klejnotów, przedstawia wartość miliona marek. Najpiękniejsze czarne perły posiada Eleonora Duze, włoska tragiczka. Sarah Bernhardt, jest właścicielką najpiękniejszej kolekcji turkusów, oprawionych w kolezki, pierścionki, bransoletki i sznury na szyję. Pani Mackenzie, dama dworu angielskiego, posiada niezwykłą kolekcję indyjskich brylantów. Lina Cavalieri jest właścicielką najpiękniejszych białych pereł, a owe trzy olbrzymie sznury, noszone przez nią na szyi, przedstawiają wartość dwóch milionów franków. Wicehrabina Castlerough dama dworu angielskiego, posiada olbrzymie szmaragdy (cabachons) w kształcie gruszek — okalane brylantami, także broszki i djadem, co przedstawia wartość około 3 mil. frank. Miss Olive May, artystka, która nie dawno opuściła londyński teatr „Good bye“ aby wyjść za lorda



Miss Olive May.

by Delys, przyjaciółkę króla portugalskiego, której w Ameryce, w drodze pomiędzy Albany i New-Yorkiem, skradziono na pół miliona franków klejnotów... Zajął się tem cała amerykańska i europejska prasa — nie było świstka, któryby o tem nie

Paget, dostała od narzeczonego w dniu, w którym ostatni raz występowała, kolję perłową, wartości 10.000 funtów sterlingów. Rzymskie arystokratki są właścicielkami bezcennych klejno-



Gaby Delys
z naszyjnikiem z pereł wartości miliona fran.

tów, które jako wartość kamieni i jako cudna artystyczna oprawa, nie mają sobie równych. Skarby te spoczywają w złotych szkatułach, artystycznie czelowanych przez mistrzów florenckich.

Wielkie damy angielskie, których przodkowie byli obdarzeni przez indyjskich maharadzów cudnymi, niebывалymi klejnotami, posiadają zdumiewające kolekcje drogocenne — milionowe, z „tysiąca nocy“, o wprost ba-

jecznych kamieniach — i dlatego w Anglii królowe brylantów są najliczniejsze i najznamienniejsze. Są one posiadaczkami całych napierśników dzianych brylantami, z których każdy ma swą tradycję i jest osobliwością. A nie tylko brylanty skrzą się tam i palą krociami ogni, rubiny i szmaragdy, opale i szafiry, turkusy i topazy, składają się na przeraźliwie cudne klejnoty...

Wszystkie te „wybranki“ starają się oczywiście o to, by nadać jaknajwiększy rozgłos posiadany przez siebie skarbowi, urządzają wystawy zwiedzane przez zaciekawione tłumy, stroją się przy każdej sposobności w te wszystkie cudne świecidla, wzbudzające zazdrość — nawet zawieść... a oto głównie chodzi królowym klejnotów!..

Marcèle.

Moda przed sezonem.

Początek marca jest w Paryżu zapoczątkowaniem półwiosennego sezonu (demi saison) zajmującego znaczne miejsce w tualutowym repertuarze eleganckich paryżanek, lub cudzoziemek w Paryżu zamieszkałych. U nas, półwiosenny sezon przechodzi niepostrzeżenie, a tualety wiosenne zwykle ukazują się dopiero w drugiej połowie kwietnia. Jest to oczywiście prostą konsekwencją klimatu, następstwem kapryśnego u nas marca, pruszącego nieraz śniegiem o pogodzie zmiennej, jak... gusty kobiet.

Wcale to jednak nie przeszkadza, że każda z pań ubierających się starannie, myśli już dzisiaj o tem, co też moda przyniesie nowego, jakie będą jej rozkazy w najbliższej przyszłości? Czyniąc zadość memu kronikarskiemu obowiązкови — przesyłam Szanownym Czytelnikom moim wiązankę nowin, zaczerpniętych u samego źródła, a będących w ścisłym związku z nadchodzącym sezonem. Zaczynam oczywiście od uczesań i kapeluszy, jako bezpośrednio ze sobą połączonych.

Jak to już kilka razy zaznaczyłam, nie może być mowy o modnym kapeluszu bez modnego uczesania. Otóż obecnie już noszą i w dalszym ciągu nosić będą i na wiosnę i w lecie —



Wicehrabina Castlerough.

kapelusze małe i tem samem i małe uczesania. Duża koafiura, z rozlicznymi dodatkami: lokami, podkładami, i t. p. przestała chwilowo istnieć, opadła w niefaskę, wraz z olbrzymimi kapeluszeniami, noszonymi dzisiaj w Paryżu wyłącznie przez tamtejszy półświat, i to do tualet wieczornych. Na tym punkcie moda okazała się konsekwentną — narzucając paniom krótkie i wąskie suknie spacerowe, które przypominają sukienki lalek — sprowadzając nasze postacie do minimalnych rozmiarów, zredukowała i wymiary głów naszych. Musimy zatem poprzestać na tych *homeopatycznych* dawkach i do nich się zastosować — o tyle oczywiście, o ile nasze osobiste warunki na to pozwalają. Nie wyobrażam sobie bowiem tak tualutowo modnie *obciosanej* osoby o kształtach bardzo wydatnych. Widocznie *moda* w takie detale nie wchodzi — eleganckie damy muszą być szczupłe — bardzo zgrabne i na tem koniec!.. Wracam do kapeluszy.

Otóż toki i toczki — *calotte* a przede wszystkim rodzaj *czapek bulgarskich*, głęboko na głowę wchodzących, z dużymi spiczastymi kokardami z samego tyłu — lub też dosyć duże rondo z prawej strony opadające a z drugiej wysoko podniesione i na tem jakaś fantazja — ale ostatniem słowem są czapki bulgarskie z niewielką nad sa-

mym czołem kitką. Jest to bardzo ładne pod warunkiem, że się znajduje na ładnej, małej i młodej głowie.

Kostiumy wiosenne spacerowe, będą cokolwiek szersze, mówią nawet o spódniczkach plisowanych wokół — ale muszą odsłaniać stopy do kostek, to należy do obecnego szyku i znowu jest ładne, pod warunkiem, że stopy są śliczne i ślicznie obute. Do najmodniejszych materiałów na wiosenne spacerowe kostiumy należy t. z. *wigoni* bardzo miękki choć bardzo grubo szewiot również ma powodzenie. Z materiałów strojnieszszych, modną jest jedwabna mora oraz dawniejszy t. zwany *poult de soie*, następnie rodzaj *crêpe de Chine broché*, to jest w kwiaty lub arabeski — w kolorach *champagne, bois* (drewno) *blé mur* (dojrzałe zboże) Mówią o powrocie do mody tak bardzo dawniej noszonej alpagi ale w ulepszonym gatunku, to jest bardzo miękkiej i świecącej. Żakiety krótkie z przodu, o połach zaokrąglonych i silnie z tyłu wydłużonych, nadzwyczaj modne będą zuawki z długimi wążiutkimi rękawami, obszywane przy rękach szeroką opadającą na ręce koronką, oraz bolera bez rękawów, kładzione na białe bluzki. Do tualet *demî habillées* (pół strojnych) noszą i nosić będą t. z. *blouses romaines* czyli bluzy rzymskie stylowe, lekko modernizowane, przewiązane sznurem lub wążiutkim paseczkiem. Ma to swój specjalny szyk ale musi być cienkie, miękkie, dobrze się układające. Guziki nie straciły na wzięciu — najmodniejsze z imitacji brylantów, rubinów, szafirów oraz z masy perłowej.

Zwracam uwagę Szanownych Czytelniczek na znamiennej charakterystykę w rysunku, w całości kształcie naszych postaci. Zmianę tę wywołał odmieniony fason gorsetów. Owa prosta linja z przodu, otrzymywana za pomocą t. z. *busc droit*, przestała obowiązywać — kształty figury są wydatniejsze, bo gorset ich nie przygniata. Noszą przeważnie gorsety małeńkie, rodzaj pasków, zlekka podtrzymujących figurę. Na tę zmianę trzeba bardzo uważać, na niej polega cały *modern style* tualety. *Marcèle.*

Prawo do kieszeni.

Cheąc uniknąć wszelkiego nieporozumienia wypada zaznaczyć, że tytuł powyższy nie ma w sobie nic, z *przenośni* — nie oznacza prawa do czyjegós pu-gilaresu lub portmonetki, lecz po prostu omawia słuszne zresztą żądanie pań — aby na równi z panami posiadać prawo do kieszeni w sukniach i okryciach codziennie noszonych. Prawo to zostało paniom odjęte przez despotyczną „Modę“, narzucającą im suknie tak obcisłe, że o umieszczeniu w nich kieszeni nie mogło być mowy.

Otóż paryżanki zaprotestowały nareszcie przeciw temu niewygodnemu tualetowemu brakowi, i oto jako *dernier cri, clou* wiosennego sezonu odzyskały... prawo do kieszeni. W bardzo szykownych kostju-

mach spacerowych, w spódnicach, żakietach a nawet w długich noszonych teraz kamizelkach pojawiły się kieszenie. Cheąc być zupełnie *modern style*, do kieszeni kładzie się nietylko chusteczkę lub portmonetkę — ale całą rękę lub obie ręce i tak się spaceruje. Jest to ostatnie słowo modnego wygładu. Impuls tego nowego kapryśku pań, jest podobno dziełem angielskich sufrażystek, które nawet w rzeczach Mody żądają zupełnego równouprawnienia. Ponieważ trzymanie rąk w kieszeniach było dotąd przywilejem panów, więc i paniom się to należało. Jak we wszystkim, co jest nowe i ekscentryczne, tak i w tym świeżo stworzonym geście, trzeba mieć wiele specjalnego szyku, aby pozostać zręczną i wytworną. Najłżejsza przesada była by tu obrazą elegancji i dobrego tonu.

Szczytem jednak oryginalności jest wprowadzany obecnie w Paryżu zwyczaj obdarzania panów spacerujących torebkami ręcznymi przewieszanymi na sznurach przez ramię, to także należy do szyku... równouprawnienia. Pani z rękoma w kieszeniach — a pan — z torebką na sznurku — to istotnie coś dotąd niewidzianego, — i wątpię byśmy to w Warszawie ujrzeli!...

Rady i wskazówki.

Pani Marcie S. W branży perfumeryjnej silna konkurencja wytworzyła w ostatnim czasie dążność do jaknajpiękniejszego opakowania, które jednak kosztuje bardzo drogo, drożej niżby się to nie specjalście wydawać mogło, że zaś, podstawą przemysłu musi być bardzo ścisła kalkulacja, więc urzeczywistnienie tej dążności odbić się musiało na gatunku samego towaru. Dlatego też mydło wase-linowo-lanolinowe fabryki „Iris“ bez etykiety, tylko w skromnym opakowaniu, cieszy się już wielką popularnością, a specjalnie w kołach le-karskich. Mydło fabryki „Iris“ jednoczy w sobie wszystkie zalety z wymaganiami higieny i nowoczesnej techniki branży perfumeryjnej, a więc jako przygotowane na materiałach surowych najlepszego gatunku, przetłuszczone wase-liną i lanoliną, środkami powszechnie uznanymi za najdotadniej wpływające na skórę — mydło to wytwarza pianę delikatną, a tłustą, a będąc zupełnie neutralnem, nie podrażnia nawet najdelikatniejszej cery.



Najnowsza moda wiosenna „przewiduje“ Kieszenie w strojach kobiecych.



Losy teatru polskiego.

Od długiego szeregu lat scena polska w Łodzi walczy o zdobycie sobie trwałego gruntu. Różni wodzowie, mniej lub więcej śmiali, mniej lub więcej zdolni i oddani idei, prowadzili hufce aktorskie na glód i poniewierkę, na bój z obojętnością ogółu. Kościelecki, Gawalewicz, Zelwerowicz i wielu, wielu innych zrosili scenę łódzką swoim potem. Wielu aktorów stargało tu swoje siły i zdolności. Przez tę scenę przeszli także ci, którzy dziś zajmują wybitne stanowiska na naszych scenach pierwszorzędnych. Były nawet przelotne sezony świetnego powodzenia. Zdawało się, że teatr polski zdobył już na zawsze publiczność łódzką, że się stanie mocną placówką kulturalną, że wreszcie, dzięki powodzeniu, zdobędzie sobie trwałe podstawy materialne.

Zdawało się nawet, że teatr polski będzie miał stałą siedzibę w najlepszym gmachu, który ongi otwarto z wielką uroczystością, z udziałem naszych pierwszorzędnych sił literackich. Ale, o ironjo! Artyści polscy wkrótce ustąpili z desek tej sceny a ich miejsce zajęła trupa żargonowa i dotąd panuje tam niepodzielnie, z powodzeniem. Artyści polscy znaleźli sobie inną skromną siedzibę, która wkrótce spłonęła i teatr polski, znalazłszy się na bruku, musiał skrócić swój sezon. Z wielkim trudem odbudowano ten teatr który... znowu się spalił. I znowu, jeszcze z większym wysiłkiem przy pomocy ciężko uzbieranych funduszy przez Towarzystwo teatralne, odbudowano teatr.

Nie na tem jednak polegało niepowodzenie teatru polskiego. Za czasów Zelwerowicza nastąpił rozłam wśród artystów. Pierwszorzędna siła sceny polskiej, Mielewski, musiał ustąpić i założył własny teatr pod nazwą „Popularnego”. Zrazu wrócono upadek obu teatrom, z powodu rozproszenia sił, ale teatr popularny, dzięki nadzwyczajnej energii i niepospolitym zdolnościom kierownika, zdołał sobie istotnie wyrobić wielką nadspodziewaną popularność. Umiejętnym doбором sztuk, taniością miejsca, ruchliwością, zdobył sobie najszersze masy i stał się doniosłym ogniskiem kulturalnym, potrafił oderwać masy ludu pracującego od trosk, szarzyzny życiowej, od dusznej atmosfery knajp i dał im strawę duchową, zdemokratyzował sztukę. Zasługi Mielewskiego są ogromne, dziś jeszcze nieocenione należycie. Już trzeci rok on pracuje z powodzeniem i korzyścią i zaliczyć go można do poważnych siewców ziarna kultury w szerokich masach. P. Mielewski nikomu się nie kłania, ni-

czyich łask nie zaskarbia, do żadnych poziomów się nie zniża, do niczyich upodobań i nawyków się nie nałamuje, lecz jak prawdziwy kapłan sztuki, oddany jej jest całą duszą i dzięki temu teatr popularny cieszy się stale ogromnym powodzeniem i w dziejach sztuki polskiej w Łodzi zajmuje najwybitniejsze miejsce.

Więc rozłam w teatrze Zelwerowicza wyszedł na dobre dla demokratyzacji sztuki polskiej. Byłoby jednak bardzo pożądane, ażeby równym powodzeniem mógł się cieszyć także teatr polski pod skrzydłami Towarzystwa teatralnego. Ale, niestety, zawisło nad nim jakieś fatum. Po drugim pożarze rozpoczął on sezon bieżący pod kierunkiem artystycznym wybitnego, utalentowanego artysty, p. Bednarczyka i pod kierunkiem administracyjnym doświadczonego administratora p. Maliszewskiego. Czy to jednak warunki ogólne, depresja powszechna, czy nierównomierny dobór sił, czy przepracowanie artystów, czy repertuar nie wszystkim przypadający do smaku, czy wreszcie zaostrenie stosunków ogólnych ludności łódzkiej wpłynęły na to, że teatr polski od początku sezonu miał dość słabe powodzenie, gdy tymczasem wystawa nowych sztuk pociągała za sobą dość znaczne koszty. Teatr zaczął przynosić coraz większe niedobory i nareszcie doszedł w ostatnich dniach do ostrego przesilenia. Artyści nie otrzymywali należnej im gaży, musieli poprzestawać na drobnych zaliczkach. Udali się tedy ze skargą do Towarzystwa teatralnego, które im dało odpowiedź niewłaściwą. Nadto na zebraniu członków Towarzystwa obrzucono artystów ostrymi zarzutami, że są niedbali, że nie umieją ról i t. d. Artyści więc, doprowadzeni do ostateczności postanowili podać się do dymisji i ogłosili list treści następującej:

„Artyści Teatru polskiego podali się gremjalnie do dymisji z dniem 16 marca na skutek odpowiedzi Zarządu Towarzystwa teatralnego, do którego w swoim czasie udali się z prośbą, jako do opiekunów polskiej sceny, o wywarcie wpływu na przedsiębiorcę teatru, p. Maliszewskiego, ażeby zaległą gażę uregulował i zerwał wogóle z systemem przez siebie przyjętym płacenia zaliczkami w bardzo drobnych kwotach.

Odpowiedź zarządu Towarzystwa teatralnego, napisana w tonie średniowiecznych raubriterów do swoich knechtów, zbywająca przyłtem sprawę ogólnikami, treści wręcz naiwnej oburzyła aktorów Teatru polskiego, którzy na innej drodze postanowili krzywdy swojej dochodzić i zaprzestać grać w teatrze pod egidą Towarzystwa teatralnego”.

Smutne to sprawy nad wyraz. Artyści są rozgoryczeni przede wszystkim na Towarzystwo teatralne za niesprawiedliwe traktowanie. Istotnie, trzeba przyznać, że pracowali oni nad siły. Co tydzień premjera, przy dość szczupłym personelu i ubóstwie środków technicznych sceny; praca natężona, przy trosce o byt, przy niedostatku a często może na głodno,—w takich warunkach można wybaczyć aktorom nawet niekiedy niezupełne przygotowanie ról. Przeciwnie—podziwiać należy względną ich sprawność i sumienność.

Byłoby to fatalne, gdyby obecny zatarg miał wpłynąć na zamknięcie teatru przed końcem sezonu i rozsypanie się tej garści artystów po świecie na niepewne i mroczne jutro. Byłoby bardzo smutne przytem, gdyby ten zatarg istotnie skończył się przed kratami sądowemi. Mamy nadzieję, że Towarzystwo teatralne nie dopuści do tej ostateczności i postara się o załagodzenie sprawy, że wreszcie dążyć będzie wszelkimi siłami, ażeby ta drużyna pozostała na swych stanowiskach do końca sezonu. Można jeszcze tą i ową reformę wprowadzić, można repertuar ożywić przez współpracownictwo rzeczoznawców, którzy mają być powołani do komitetu czuwającego nad repertuarem. Tą drogą można przywrócić zaufanie publiczności i zwiększyć frekwencję na widowiskach. Należałoby nadto o tyle podnieść środki techniczne, ażeby się dało skrócić antrakty, które nieraz trwają dłużej niż same akty danej sztuki. To również zniechęca publiczność. Wprawdzie teatr polski jest za ubogi na to, ażeby mógł urządzić scenę okrągłą, ale może się postarać o takie ulepszenia, które pozwoliłyby skrócić widowiska, trwające nieraz do pół do pierwszej w nocy.

Wszystko jednak, co się da zrobić na razie będzie półśrodkiem. Teatr polski w Łodzi zarówno pod względem gospodarczym jak i artystycznym wymaga gruntownej reformy. Wymaga jej także Towarzystwo teatralne, które powinno zmienić swą ustawę w ten sposób, ażeby przyciągnąć szerszy ogół. Towarzystwo to musi także wciągnąć do swego łona ludzi oddanych szczerze sztuce i znających się na niej. Z takich znawców powinien być złożony komitet specjalny. Jest rzeczą wielce pożądaną, ażeby członków można było werbować nie tylko w Łodzi, ale także poza nią. W ten sposób można zdobyć, że tak powiem, instruktorów rzeczoznawców, właściwie doradców z głównego ogniska naszej kultury—z Warszawy. Łódź jest nazbyt uboga w takich ludzi, a ci, którzy istotnie są miłośnikami i znawcami sztuki, uginają się pod nawałem pracy i wszelkich obowiązków.

Zenon Pietkiewicz.

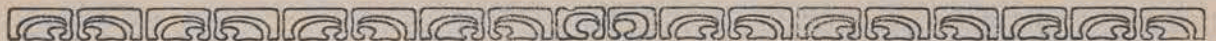
Pomimo, iż Komitet pomocy dla robotników, pozbawionych pracy, z dniem każdym coraz szerzej rozwija swą pracę, pomimo, że fundusz coraz bardziej, acz powoli, rośnie, niema prawie dnia, ażeby pisma miejscowe nie notowały wypadków zastąpienia na ulicy z głodu. Jakkolwiek fundusze zebrane dotąd, przekroczyły już 60,000 rubli, ale zastępy głodnych z dniem każdym rosna a fundusze te topnieją. Członkowie komitetu obywatelskiego mają niezmiernie ciężkie zadanie, a bodaj najcięższą jest kontrola. Sprawdzanie legitymacji i istotnych przyczyn utraty zarobków. Zadanie trudne jest z tego względu, że Łódź posiada więcej niż inne miasta oszustów, wydrwigroszów wszelakich, którzy potrafią się podszywać pod robotników głodnych i wydłubać pieniądze jednocześnie w różnych obwodach, na które Komitet obywatelski podzielił miasto, dla ułatwienia pracy swym członkom.

Zdarzały się i takie wypadki charakterystyczne: Jakaś robotnica podczas rozdawania zasiłków, czy też obiadów bezpłatnych, wszczęła alarm, że jej skradziono... sto rubli! I takie przychodzą po zapomogi, z krzywdą oczywiście tych, którzy są zupełnie pozbawieni środków do życia.

Jeszcze na początku działalności Komitetu obywatelskiego zgłosił się po zapomogę... właściciel domu! Wprawdzie Łódź sporo liczy takich „właścicieli“, którzy są zarazem stróżami swoich chałup, zamieszkałych przez nędzę niepłacącą. Taki kamienicznik również może być niedzarmem i miewać nawet chwile głodu. Ale bądź co bądź ta kategoria ludzi zawsze da sobie radę. Podszywanie się więc pod kubrak głodnego robotnika jest bezczelnością specjalnie łódzką.

Te przykłady dostatecznie ilustrują trudności kontroli w całym znaczeniu ścisłej przy rozdawaniu zapomóg. Pomimo największej czujności, członkowie komitetu mogą być ofiarami oszustwa. To też komitet postanowił wzmocnić swą kontrolę za pomocą zrekrutowania płatnych funkcjonariuszów. Bardzo słuszne przytem zrobiono zastrzeżenie, że tymi funkcjonariuszami mogą być tylko robotnicy, pozbawieni pracy. Będzie więc stąd korzyść podwójna: pewna liczba robotników otrzyma płatne zajęcie, a przytem, jako kontrolerzy, potrafią oni łatwiej niż ludzie z innej sfery, zbadać istotne położenie ludzi, kwalifikujących się do pobierania zapomóg. Dotrą oni wszędzie i sprawdzą należyte położenie każdego głodnego, jak również przyczyny utraty pracy zarobkowej w danym zakładzie.

Heron.



Od Redakcji. Instytucje łódzkie i osoby prywatne prosimy o nadsyłanie sprawozdań, broszur, wszelkich uwag, notatek i głosów w sprawach, dotyczących życia potrzeb miasta, pod adresem kierownika działu łódzkiego w **Złotym Rogu**, Zenona Pietkiewicza, — Łódź, Inżynierska 1.

LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

2) EUGENJA ŻMIJEWSKA.

...Takiemi patrzyły, bo innych nie miały. Czyli dwa punkty widzenia.

W Bratkowcach nie byłoby nawet na czem tańczyć. Zwyczajna ordynarna podłoga, źle zheblowana. Przedpotopowe kanapy, rozłożyste, jak arki. Niby mahonie, ale nie ręczę. W jadalnym pokoju, bufet i kredens — nie dębowe, ale z jesionu. Oni to nazywają czeczotką. W życiu mojem nie widziałem takiego urządzenia. Nieraz mam ochotę zaproponować im, żeby sprowadzili naszego tapicera, ale wiesz, że nie lubię wtrącać się w nieswoje sprawy. Nie wytrzymałam jednak i dałam poznać, że kto chce mieć gości, ten powinien mieć inne pokoje gościnne...

Materace tak twarde, że gdy się nareszcie położyłam po tej utrapionej drodze, zdawało mi się, że się tłukę jeszcze po wybojach. I tak codzień!

A towarzystwo? Czy można to właściwie nazwać *towarzystwem*? Nie trzymają lokaja. Do stołu usługuje dziewczka i w dodatku ubrana po chłopsku. Warto być obywatelem, i to ziemskim. Ale że ja potrafię we wszystkim znaleźć dobrą stronę, więc sobie powiadam na pociechę, że takiej dziewczce będzie można dać czwartą część tego, co by trzeba dać służącemu.

Niepotrzebnie zabiegałeś o stosunki ze Staszewskimi. Mówiłam. I po co było wydawać raut na ich intencję i pokazywać ich znajomym. Jeszcze w mieście wyglądają jako tako — i przebacza się wiele ze względu na „wiejskość“ i na „radcostwo“, ale trzeba ich widzieć na miejscu! Pan radca chodzi w szarym kitlu, jak ekonom, a pani radczyni drepce od kuchni do spiżarni. Każdyby ją wziął za klucznicę. A wydziela tak skąpo masła, że kasza rośnie w ustach,

a mięso uwiera w gardle, jak drzazga. Rano dają szarą, gęstą ciecz, która ma być kawą, a wieczorem — drugą, rzadszą, siwą, ciecz, która bez powodzenia udaje herbatę. I żeby choć się zajęli gościem, uhonorowali! Myślałby kto, że z łaski zaprosili nauczycielkę, bo nie miała gdzie spędzić wakacji. Każdy przyzna, że jestem łatwa w pożyciu i nie wymagająca dla siebie, ale przecież są prawa gościnności.

Do obiadu nie widać żywej duszy, nawet ta nudziara Narzyńska gdzieś się zapodziewa, i gdyby nie jej nos kaczkowaty, możnaby przypuszczać...

Stara chodzi z kluczami. Stary — niby — dogląda żniwa, a podpatrzyłam, że zamyka się w swoim gabinecie z figurami z pod ciemnej gwiazdy. Jeszcze nie spenetrowałam: czy od nich pożyczają pieniądze, czy też robi z nimi jakieś brudne interesy. Miła atmosfera! Gdyby o mnie tylko chodziło, wyjechałabym stąd zaraz, ale nie odsiedziałam jeszcze kosztów podróży. I coby powiedzieli znajomi? Mówiło się, że wyjeżdżam na sześć tygodni... Ha! trudno, zostanie. Czego się nie zniesie, mając męża niedolegę, który nie potrafi tyle zarobić żeby żona mogła co rok jeździć do wód i nie wycierać cudzych kątów. Ale ja się nie lubię upominać o swoją krzywdę, ani robić wymówek. Przeciwnie, piszę do ciebie jak do przyjaciela i opowiadam ci wszystko z pod serca.

...A wiesz, że stary ma niejednego grzech na sumieniu. Kiedyś, z nudów, poszłam na spacer i, wyobraź sobie, naliczyłam po drodze aż sześciu parobków, podobniejszych do niego sto razy, od tego gamonia Ludwika.

I Ludwik dobry! Niby skromny, niewiniątko. Na *kobiety* ani spojrzę. Ale dlaczego? Chyba się łatwo domyślisz. Zgroza!

Halina nie lepsza. Wieczorami w ogrodzie — skandale. Piski, krzyki, gonitwy, przyspiewki! Zupełnie, jak w podmiejskim

„ogródki” z „panienkami” i kabaretem. Boję się wysunąć nosa z pokoju, żeby nie natknąć się na to, czego porządnej kobiecie zdaleka nawet widzieć nie wolno... Panicz, panna ze dworu i — same parobczaki. Miła zabawa! Staszewska ani się o to zatroszczy. Sama była taka do niedawna.

I Narzyńska należy do tej kompanijki. A wiesz kto jeszcze? Ni mniej ni więcej — ksiądz proboszcz, choć ma już ze sześćdziesiąt lat conajmniej.

Może myślisz, że przesadzam, bo ty zawsze... Na własne oczy zobaczysz i co innego jeszcze. Zachwycałeś się złotymi włosami Haliny... Dopiero na pełnym słońcu widać, jakie to złoto... Z flaszki. I piękna cera — ze słoika.

To się nazywa *patryjarchalność*. To się nazywa: *nasz sacny dom polski*.

Zachciało ci się oszczędności, i ja za to muszę cierpieć. Lecz skoro już ma być oszczędność, przyjeżdżaj prędko. Marysię odpraw. Klucz od mieszkania zostaw u stróża — na jego odpowiedzialność. Zatem do widzenia.

(dok. nast.)

Twoja Miła.



TADEUSZ JAROSZYŃSKI.

8)

BOHATER.

POWIEŚĆ.

Przeleciało coś, jak wicher, tuż koło łbów końskich, czy jednak byli to kozacy, nie wiem.

— Ba oni, huncwoty. Ale, dalibóg to szczęście prawdziwe dla waćpani, czy waćpanny, bo nie wiem w tej kaszy kogo mam honor napotkać. Ja jestem Kazimierz Bzow-

ski, podporucznik drugiego pułku ułanów, przedstawiał się młody oficer, salutując po wojskowemu, czego zresztą panna w tych nieznośnych ciemnościach widzieć nawet nie mogła.

— Ja jestem, Krystyna Rytwianówna, córka sędziego z Krasek, tu w tym powiecie... niedaleko...

— Znam porucznika Rytwiana z siedemnastego pułku piechoty.

Panna wydała okrzyk radości.

— Brat mój... Wacław! Żyje!

— Jest w obozie.

— Ogarnęło ją, jakieś dziwne uczucie niemocy. Osunęła się na siedzenie.

— Wachmistrz, krzyknął oficer, jedź przodem, a wal wprost na ogień.

Ruszył wachmistrz. Marcin emoknął na konie.

Niebawem panna Krystyna z niewypowiedzianem, jakby sennego widzenia, uczu ciem wysiadła z sanek.

Porwali się z miejsc oficerowie, ujrzawszy w promieniach ogniska, zbliżającą się postać niewieścia, poprawiali na sobie ubranie, podkrećali oszroniałe wąsiska...

Wyglądali przecież oplakanie. Wyneźdzniali, odarci, nieogoleni, nadrabiali gęstą miną. Ukrywali jeno wstydliwie w śniegu nogi, bo obuwie nie nazbyt się zdało wytworne i niektórzy miast butów, stopy poprostu gałganami poowijali.

Mój Rytwianie—wołał zdaleka porucznik Bzowski — jest tu ktoś, kto cię pragnie oglądać...

IV.

Sennem widzeniem, czy lepiej majakiem gorączkowego podniecenia mogło się wydać pannie Krystynie to wszystko, co przeżywała od chwili opuszczenia dworu chorążego. Przedewszystkiem zbłądzenie na drodze, którą przebywała, tyle razy, którą znała najdokładniej ze wszystkimi zakrętami, wybojami — drogi do blizkiego rodzinnego domu było wydarzeniem wprost niepojętem. A potem w zamęcie śnieżycy zaczęły się dziać rzeczy okropne, jakby poczęte w ponurej imaginacji.

Zaiste coś z fantastycznych zwidzisk miał w sobie ów gon jeźdźców niewidzialnych, przewalających się w ciemnościach, piekielną też zjawą zamajaczyło jej w oczach ognisko, otoczone wieńcem dziwacznych postaci. Na tle przysłoniętych, niby ciemną gazą, bla-

sków ogniska sylwety ich o niepewnych, postrzępionych zarysach widniały, jak widma wyczarowane z dzikiej fantazji poety.

Na głos podporucznika Bzowskiego, z pod kupy, przysutych śniegiem łachmanów, dźwignął się człowiek.

Dziewczyna raczej przeczuła, niż poznała.

— Wacław!

I znowu stało się coś niepojętego, coś okropnego, co serce ścięło lodem.

Wacław witał się z nią tak dziwnie sucho i obojętnie.

— Krysta? Tu?! Skąd?.. Boże!.. Co się tu dzieje?

Lewą ręką ujął jej rękę i przycisnął do ust. A kiedy wybuchając radosnym okrzykiem chciała go chwycić w objęcia, powstrzymał ją straszliwie wymownym gestem.

Ogarnęło ją uczucie niewypowiedzianego bólu. Odretwiała, ogluszona, nieprzytomna stała nieruchomo, jeno lzy obfite wybiegły z pod powiek i toczyły się nieprzerwanymi strumieniami po policzkach.

— Dlaczego mnie odtrącasz? — krzyknęła wreszcie, głosem bezbrzeżnej rozpacz.

— Bo boli... Wszystko boli... August był szczęśliwszy, do diabła — mówił z goryczą. — Poległ śmiercią walecznych pod Smoleńskiem. Padł, przeszyty pięciu kulami, prowadząc kampanję do ataku... Widzieli jak padł... po bohatersku, po żołniersku, wznosząc szpadę w kierunku reduty. Ha, ha, a człowiek gnije, rozpada się na kawałki, i czeka... ha, ha, czeka, ciągle czeka.

Jakby nie miał już nic więcej do powiedzenia, wrócił na dawne miejsce koło ogniska i zagrzebał się znowu pod owe gałgany, którymi przedtem był przykryty.

W tej chwili otoczyło ją grono oficerów i, jakby w poczuciu, że nagle, natychmiastowe przeciwdziałanie przynębiającej scenie powitania, może wyrwać dziewczynę z niebezpiecznego, zda się, dla zmysłów odretwienia, zaczęli ją pocieszać i tłumaczyć zachowanie się nieszczęsnego oficera. Niektórzy nawet dla tem silniejszego efektu zdobywali się na humor, padło więc tu i owdzie kilka dyskretniejszych wprawdzie, ale dość obozowych conceptów. Ona jednak, oniemiała z bólu, nic, zda się, nie słyszała, nie widziała...

Jakiś artylerzysta przypadł do niej i ująwszy za ręce wstrząsnął niemi silnie, jak gdyby budził z głębokiego uśpienia.

— Niechże się waćpanna ocknie! Brat pani jest nieco cierpiący... Bardzo cierpiący, do kaduka... W odwrocie z pod Wilna wypadło mu osłaniać wymarsz furgonów. Stał z garścią swoich piechurów z pięć godzin bezczynnie nad gościńcem. Było dwadzieścia kilka gradusów zimna dnia tego. Ano odmroził sobie biedny porucznik ręce, że mu trzeba było dwa palce amputować przy samej dłoni. Mimo to ręka spuchła... Ha, cierpi, cierpi strasznie, wierzaj mi waćpanna. Od tego to waleczny ten oficer jest dziś beznadziejny, obojętny na wszystko, że go i spotkanie z siostrą ukontentować nie mogło. Ale to przejdzie, przejdzie. W tej wojnie djabelskiej na wszystkich bo i na najhartowniejszych nadchodzą takie chwile apatji i zniechęcenia.

Ba, sam tego razu pewnego doznałem — ciągnął dalej — a było to w owym momencie, kiedy się dowiedział, że całą baterję, cośmy byli francuzom z rozkazu Cesarza za Orszą ustąpili, te huncwoty tam zaraz na miejscu oddali nieprzyjacielowi bez wystrzału. To wiem i na zbawienie przysięgnę, że gdyby mi się była rodzona matka w owym dniu nagle zjawiła, byłbym się w powózce tyłem od niej odwrócił, żeby ukochanej osobie od wstydu i złości brzydkich słów nie nagadać. Tak mnie to już przy ranie i chorobie zmogło do ostatka, że choćby świat cały do góry nogami koziołka fikał, jużby mię to było bynajmniej nie ruszyło.

Bo, pewnie, zechce bowiem pani łaska wa wziąć pod uwagę, żeśmy ową baterję z rozpraw i pod Smoleńskiem i pod Możajskiem i pod Woronowem i pod Tarutiną i we wszystkich potyczkach odwrotu z najgorętszego ognia cało wywiedli, że ani jednego działą, ani jednego kesonu, ba, jednego wyciora nie brakowało...

(d. c. n.)



STARE LWY.

POWIEŚĆ.

Porwał się — stanął... Lecz się nie wyrwać mu z węzowych skrętów rąk Szymkowych.

— Do wieży z nim!.. dał się w tej chwili słyszeć głos wojewody — —

Jasieniec drgnął — twarz okryła bladeś śmiertelna — —

Dwa gromy spojrzeń uderzyły o siebie.

Wojewoda za pas prawicę założył i rzekł drwiąco:

— Spotykamy się wreszcie, mości panie — ale to już raz ostatni, jak Bóg na niebie — raz ostatni!..

— Pozwól mi się waszmość pomodlić — szepnął Jasieniec...

— Nie tutaj, mości panie — nie tutaj, gdzie jeszcze powietrze technie upajającą wonią rozkoszy, pocałunki wzałomach ścian szemrzą. A ty wstań z pyłu ziemi, miła małżonko moja, a opowiedz mi, jak to tam kradzione uściski smakują?..

— Nie urągaj waś trupowi — rzucił Jasieniec.

— Trup?..

Okropnie się rozszerzyły oczy pana Włodka.

— Zabijeś?..

Zaśmiał się...

Pełko pochylił się ku zwłokom — —

— Precz od nich!.. krzyknął wojewoda...

Trupa się pochowa, a i waś już z pod ziemi nie wyjdiesz!..

Skinął — —

Dwuch pacholków podeszło i uprowadziło nie probującego już walki Jasieńca.

Chwilę przed tem, gnany przecuciem nieszczęścia, Przemko stanął w drzwiach wojewodziny. Przerazenie oniemiało mu usta. Widział, jak Ryć oderwał Jasieńca od trupa, słyszał groźne rozkazy wojewody, widział Jasieńca twarz bladą, który, po próżnym wysiłku szamotania się, poddał się losom swoim — i — prowadzony przez Rycia i dwóch pacholków, przestępował próg izby. Pełko go dojrzał, dojrzał, jak stał ukryty w fałdach kotary — trup drugi!.. I okrutna myśl zrodziła się w mózgu skazańca... Wstrzymał się — oczyma kłątwy spojrzął w zbielełą twarz Przemka — i zgrzytnął:

— Zdrajco!..

I minął próg z tem słowem okrutnem — Krótko trwał szelest stóp idących — cisza zaległa korytarze.

Wtem Przemko się porwał... Przerazenie rozwarło mu oczy szeroko, szeroko, na głowie włos się podniósł. Perelka przypadła do ramion, opętanego strachem jakimś pacholecia — ale Przemko nie słyszał jej pytań, nie czuł dotknięcia rąk — —

— On myśli — krzyknął — że ja — — Jezus Marja! zawołał — —

I runął w pustkę korytarza — —

— Przemku! Przemku!.. zadzwonił krzyk rozpaczny Perelki — ale on nie słyszał jej wołań. Dopadł drzwi na jedną z baszt prowadzących... i zniknął w mroku. Słychać tylko było głuchy, szybki stuk kroków po schodach kamiennych... coraz wyżej i wyżej coraz ciszej i ciszej — —

Perelka dobiegła do drzwi baszty...

Wicher je zatrzasnął — —

Wróciła więc zdyszana, blada do pokoju żaloby — i padła do nóg wojewody, wołając:

— Panie... ratuj!.. On się zabije... on runie z baszty na dachy, na głązy runie!..

— Kto?.. kto?.. kto?.. zacharezał wojewoda, przypominając sobie wszystko, co zaszło.

— On... Przemko!.. Ratuj go... ratuj, panie!..

— Boże ojców moich, a nie daj-że mi dożyć tej godziny zraty! zakrzyczał wojewoda —

I skoczył, jak obłąkany, na głos cały wołając:

— Mój synu, dziecko moje!..

Zbudzona służba puściła się w pościg, poskoczył i ksiądz, przerażony krzykiem wojewody.

Wtem dachy miedziane zamku odezwały się raz i drugi loskotem głuchym, jakby grom daleki potaczał się na nich.

(d. c. n.)



DAJ MI SWE USTA...

*Daj mi swe usta — rubinową czaszę,
W której się wino rozkoszy kryształy,
Niech żar pragnienia, co pierś moją pali,
Upojen źródłem ożywczem ugaszę...*

*Daj mi swe usta! Bądź mi jako ptasze,
Co był beztroski w gaju szczęścia chwali,
Pozwól się porwać złotej pieszczot fali —
Co dziś użyjem — tylko to jest nasze!..*

*Daj mi swe usta! Niechaj z nich wycisnę
Aż do kropelki cały sens żywota!
Niech mnie bezwładność rozkoszy omota!*

*Niech nieprzytomny u warg twych zawisnę
Ponad przepaścią, co mroczna i pusta —
Zowie się życiem... O, daj mi swe usta!..*

Wiktor Dzierżanowski.

HANS LAND

Odwieczne pytanie.

(Z niemieckiego).

Równał się rzeczy, wyrzuconej z rozbitego okrętu na brzeg oceanu wielkowiejskiego. Dziecko niesłubne, sierota bez ojca i matki. Czy zginęli gdzieś rodzice, czy pomarli, — kto tam pytał o to? Opiekun z urzędu postarał się, za pomocą stosunków, o umieszczenie chłopca w rejestraturze jakiegoś banku. Udało się to przeważnie dzięki litości, wzbudzonej kalectwem sieroty. Chudy bowiem, blade dziecko było nadmiar kulawy. Chorował poprzednio na ciężki reumatyzm w stawach i wskutek osłabienia i niedokrwistości nader żaloszny przedstawiał widok. To też zarząd banku zlitował się nad biednym, kulawym stworzeniem, którego oczy tak niewymowną przed życiem zdradzały trwogę, i które skuliło się na krzeselku, jak mały, onieśmielony, dobrze z kijem obeznany piesek.

Charakter pisma miał nieładny, ale czytelnym. Po skończonej praktyce, pozostał nadal w ciemnym pokoju, jako urzędnik płatny. Rozumie się, że płaca była minimalna, i że, w nieskończonym lat szeregu podwyższano ją nader powoli.

Bank zburzył siedzibę swą dawniejszą i wspaniałą wystawił pałac. Przy tej zmianie przeniesiono rejestraturę z ciemnego pokoju do su-

teryny. Kiedy słońce świeciło na dworze, to i w piwnicy tej bywało jasno, w dnie pochmurne zaś praca odbywała się przy świetle elektrycznym, od rana do późnego wieczoru. Przez duże, lecz silnie okratowane okna widać było bruk ulicy, niezliczone nogi przechodniów i koni, koła różnorodnych pojazdów. W niezmordowanej swej pracowitości Franciszek Geller z rzadka tylko pozwalał sobie rzucić okiem na świat ten, w tak dziwnych się przedstawiający skrótach, gdy się to jednak zdarzało, doznawał uczucia pewnej przynależności do bujnego życia, które się przelewało poza mocnymi, połączeniami kratami.

Kalectwo i niewiadome niskie pochodzenie wytworzyły ogromną w nim nieśmiałość. Dwa razy przez los został napiętnowany; to już nie bólu tylko, lecz i wstydu stawało się przyczyną. Geller był przekonany, że ludzie go unikali, i że bardzo byli zadowoleni, gdy w pewnym od nich pozostawał oddaleniu.

Jedyny człowiek, którego poznał bliżej, opiekun jego, stary majster siodlarski, umocnił go w tem mniemaniu. Opiekun ów, spełniwszy obowiązki, prawem nałożone, starał się pozbyć tego ciężaru o ile mógł najprędzej, i [z chwili pełnoletności sieroty, usunął się odeń zupełnie.

Geller postępowaniem tem bynajmniej nie czuł się dotknięty. Uważał je za rzecz naturalną. Komuż bowiem może sprawiać przyjemność obcowanie z kaleką, tak na domiar ubogim, że nawet ubrać się przyzwoicie nie jest w stanie?

Koledzy w biurze również trzymali się zdala od niego. Smutne te doświadczenia nauczyły biednego chłopca unikać wszelkiego zbliżania się do kogokolwiek bądź i odnosić się z należytym szacunkiem do przegrody, którą ludzie wzniesli między nim a sobą. Nigdy go nie wciągano do udziału w rozmowie, mimo to, że jako urzędnik płatny, takie same jak drudzy obecnie miał stanowisko. Gellera stosunek z wszystkimi ograniczał się na sumiennem wykonywaniu poleceń otrzymanych. Osobistość jego nie interesowała nikogo.

I to się już nie zmieniło. Pozostał on na zawsze cichym, małowównym samotnikiem, który aczkolwiek w środku się znajdując mrowiska ludzkiego, w najzupełniejszym żył odosobnieniu. W sercu żadnej względem tych ludzi nie żywił nienawiści. Przeciwnie. Pełen był wdzięczności, że nie wypędzali go ztąd, że mu pozwalali pracować swą na kawałek powszedniego zarobić chleba. I jaka to była praca: prawdziwy ją cechował fanatyzm. Pierwszy na stanowisku, Geller ostatni wychodził z biura. Rzucił się w wir pracy, i opuszczał ją z wahaniem i żalem widocznym. Tu był jego świat. Tu był kółkiem obrzymiej maszyny, ogniwnem niezbędnem, a świadomość że jest użytecznym, dodawała mu otuchy do zniesienia życia. Opuszczając ten pokój ciemnawy, doznawał uczucia, jakby go wyrivano z korzeniem.

Dokąd pójść? Myśl o swym pokoju na fajejce, przejmowała go dreszczem. Po ciemnych, wąskich schodach wejdzie na piąte piętro, zje

mizerną kolację i położy się spać. Oszczędzał bowiem paliwa i światła. Nie była to oszczędność skapca, lecz oszczędność człowieka, ogromnym dla pieniędzy przejętego szacunkiem. Co pierwszego, gdy mu wypłacono pensję, spoglądał na te złote monety jak na cud prawdziwy. Tyle pieniędzy, tyle szczerego mu dawano złota za to trochę rejestrowania i fastrygowania papierów! Pojąć tego nie mógł. Tak minimalnie miał potrzeby, że zdołał odłożyć jedną trzecią z dziewięciuset marek, stanowiących pierwszoroczną jego pensję. Dopiero gdy mu w biurze zwrócono uwagę że powinien ubierać się nieco porządniej, przeląkł się i całą sumę zaoszczędzoną wydał na ubranie. I znów zaczął odkładać.

Po dwóch latach gdy mu dołożono trzysta marek, rozplakał się ze wzruszenia. Tyle pieniędzy, — tyle pieniędzy, — ależ to istny deszcz złota!

W banku zwrócono uwagę na niestrudzoną, gorączkową niemal jego pracę. Tak wzorowemu urzędnikowi odpowiedniejsze się należało zajęcie. Przeniesiono go do wyższego oddziału. Lecz próba się nie udała, Geller nie umiał się zachować; nie był inteligentny. Odetchnął biedak, gdy znów się znalazł na skromnej swej w rejestraturze posadzie. Zarząd banku, chcąc mu wynagrodzić tę przykrość, ofiarował mu na Boże Narodzenie dodatkową gratyfikację w sumie stu marek.

— No, — lecz nie płacz pan znowu, — rzekł prokurent. Wszyscy się roześmieli, a Geller najchętniej w ziemię by się zapadł.

Posiadając teraz tysiąc marek, kupił sobie list zastawny. Bajka z tysiąca i jednej nocy!

On — Franciszek Geller — kapitalista! Lecz nie wzrósł w dumę. Przeciwnie. W pokorze swej uważał to za cud niepojęty. Nieraz wyjmował z ukrycia swój list zastawny, i treść jego nudną przeczytywał pełen skupienia.

Było bezwarunkowo coś nienormalnego w tym człowieku-automacie, który przebył lata rozwoju bez wzruszeń fizycznych lub duchowych, który nie odczuwał tęsknoty za miłością, obojętnie przechodził obok kobiet i wszystkiego, co urok stanowi życia i świata, a niedziele spędzał na pracy dodatkowej w biurze, za którą dodatkową pobierał zapłatę.

W pewien gorący dzień lipcowy, opuściwszy biuro około godziny siódmej, czuł się nieco zmęczonym, i usiadł do omnibusu, który go wywiózł z dusznego, pełnego kurzu miasta. Celem przejażdżki było jedno z owych cichych, czarnych jezior, w których brunatno-rdzawe się przegładają światła. Unikając wrzawy niedzielnej, Geller chodził samotnymi ścieżkami, i doszedłszy do miejsca zupełnie opuszczonego spoczął w wysokiej trawie ponad brzegiem jeziora, u stóp swych nieruchomą mając trzcinę.

Dziwnego doznawał uczucia. Głęboko oddychając, wciągał to obce, czyste, orzeźwiające powietrze z niewymowną rozkoszą w zapadłe swe piersi, a spojrzenie jego zdumione spoczywało na tym świecie, błyszczącym w pełni letniej zieleni. Zdawało mu się, jakoby świat ten

cudny po raz pierwszy dopiero przedstawiał się jego oczom.

Gdy był dzieckiem, zabierano go prawdopodobnie czasem do lasu; wycieczki podobne należą do programu przytulku dla sierot. Widocznie jednak nie wywarły głębokiego na nim wrażenia. Później nie miał pieniędzy, by wyjeżdżać za miasto, a kulawym będąc, chodzić nie mógł.

Skutkiem tego spoglądał dzisiaj po raz pierwszy na przyrodę okiem świadomym, a wszystko co widział, tem piękniejszym mu się wydawało, iż oko jego zmęczone było widokiem bezbarwnych ścian i stosów białego lub szarego papieru.

Spoczywał więc w trawie i rozglądał się jak dziecko, które rozbudziwszy się w krainie cudów, oczom swoim nie dowierza jeszcze. Niebo błękitne, na dnie spoczywające jeziora, białe chmury, które jak orły dumne, szybowwały w górze, jaskółka, błyszczącym skrzydłem muskająca prawie powierzchnię cichą wody, aksamitna zieleni drzew, na której drgało płynne złoto zachodzącego słońca, roje komarów, igrających w czerwono-złotem powietrzu wieczornem, — wszystko to upajało go pięknnością swą, i padało w głąb biednej jego duszy jakby cudowne jakieś przeżycie.

Niewymowne szczęście po raz pierwszy w życiu zagościło w sercu Gellera. Oczy jego napelniły się łzami. Nikt nie bronił im spływania po wychudłej twarzy. Nikt ich tu nie widział. Nikt sztydzić żeń nie mógł.

Długie, długie godziny spoczywał nad jeziorem w lesie, a za powrotem do domu zabrał ze sobą jeden z najcenniejszych klejnotów życia ludzkiego: ukochanie, — tęsknotę.

Wreszcie stanął na moście, łączącym go z czemś, co było piękne, cudowne. Geller nie był tego świadomym. Czuł tylko, że przestał być nędznym parobkiem pańszczyźnianym, który skulony pod biczem głodu i biedy, pracował, oszczędzał, chwili szczęścia ni rozkoszy nie zaznałszy.

Nie był już istotą samotną, na ciele upośledzoną i duszy, posiadł miłość, która go uszczęśliwiła, z szarej wyrwała powszedniości życia, nauczyła go rozumieć cudowne milczenie lasu, spoglądać po przez wierzchołki drzew w dal błękitną, niedościgłą, i... marzyć. Wskazała mu drogę, łączącą go z krainą cudów, z ogromem wszechprzyrody, do której się chronił, uciekając z oschłej, nie znającej miłości pustyni wielkiego miasta, które omal nie pożarło go doszczętnie.

(dok. nast.)



TRZY RÓŻE PONSOWE.

(Z szwedzkiego).

— Człowiek, który mnie pokocha, — kończyła, — nie powinien mieć żadnych tajemnic przedemną. Nie chcę, zamknięta w moich komnatach, cudzą być dla niego. Chcę się czuć panią i wnosić ze sobą jasność i ciepło.

— W życiu mężczyzny wiele jest rzeczy niedostępnych dla kobiety, — rzekł rycerz.

— Tak pan sądzisz, a więc dla niego nie kobietą być pragnę, a jestestwem blizkiem i swoim.

— Jestestwem blizkiem i swoim, — powtórzył jak echo.

Miał wrażenie, jakoby wyrazy te słyszał po raz pierwszy w życiu.

— I wiesz o czem często myślę? — ciągnęła dalej. Boisz się mroku, rycerzu?

Ocknął się i machinalnie odparł: „Nie!”

— Będziesz się go bał, co do mnie, lękam się go od dzieciństwa. Wszak w każdym zamku jest ciemnica. A więc pragnę, ażeby tam był ze mną, gdyż we dwoje, to zawsze raźniej!

Zdarzyło się, pamiętam, że ojciec zamknął psa w takiej komorze. Weszłam tam, a natychmiast zaczął lizać mi dłonie, gdy zaś go pogłaskałam, uspokoił się zupełnie. Dlatego chcę być w bliskości ukochanego, gdy mroki go ogarną. Wyciągnę doń dłonie, a strach jego pierzchnie bezpowrotnie.

Wstała i przez chwilę przechadzała się po wzniesieniu, poczem zeszła ze schodów. Rycerz Adalbert podążył za nią.

Stara niania spacerowała po alejach, nucąc:

„Czemu on to, czemu on to,
Czemu w nasze wrota puka?
Pięknej żony sobie szuka!”

— Ach, ta Basia, ta Basia, — zaśmiała się panna Emerencja, — ciągle trawi czas na rozrywkach. Może i my pójdziemy w jej ślady?

Rycerz Adalbert zauważył, że ta propozycja najzupełniej jest nie na miejscu.

— Czekam, żebyś mi pani nazwała owego rycerza, — rzekł oschle.

— Ach... tak, później. Pragnę panu jeszcze coś powiedzieć. Kiedy się zobaczymy?

— Nie tak prędko. Mam zajęcie...

— To się rozumie, — podchwyciła z ironją, — masz pan sprawy bardziej interesujące aniżeli miłość: stare kamienie, pargamin, księżyc, gwiazdy —

Obrzucił ją wzrokiem. Czyżby szydziła z niego? Nie, ma wygląd zupełnie poważny. Zamyślał odejść, pozostał jednakże.

— Możeby się i znalazł człowiek, któryby panią zrozumiał. Nie ten to atoli, o którym pani myśli.

— Z czego to pan wnosisz? — spytała cicho.

— Dlatego, że tak już jest na świecie, — rzekł z gorzkim uśmiechem.

Zerwała różę, przypięła ją do bluzki i nie dodała więcej ani słowa. Wkrótce zegnała się z rycerzem i prosiła by przyjechał, jak tylko znajdzie chwilę wolną.

W drodze powrotnej, Adalbert próżno silił się odtworzyć jej obraz w swoim umyśle. Nie udawało mu się to jednakże pomimo usilnych starań. Jak gdyby na złość wszystkie znajome damy stawały mu przed oczami, tylko nie ona, a żadna nie miała nie wspólnego z owym blizkiem i swoim jestestwem.

Gdy powrócił do Annabergu, uderzyła go ciemność pokoiów, najbardziej zaś ponurą wydała się owa baszta, w której pracował. Nie lękał się jej mroków, lecz kto wie, co życie przyniesie może, a nie nie zastąpi owej tkliwej dłoni, co by potrafiła przygarnąć i uspokoić w potrzebie.

Nazajutrz rycerz Adalbert postanowił pojechać do Kastabell. Trzeba wybrnąć z tej niewyraźnej sytuacji, powie jej, że wogóle nie chce pośredniczyć w tej sprawie.

Gdy wjechał do bramy zamkowej, zastał pannę Emerencję wraz z ojcem na zewnątrz. Stajenny prowadził konia.

— Prosimy rycerzu, — zawołał na jego widok hrabia Urban. — Jak ci się podoba ten wierzchowiec? Żałuję, że go nabyłem. Nie jest dla mnie, ustąpię go raczej Emerencji.

Paniuszka pogłaskała rumaka.

— Prześlizchny! — zauważyła. — Szkoda, że nie mogę ubrać się po mężku i w czwartek dojechać do turnieju.

Co za przepyszne rumienie ma ta kobieta i jakie białe zęby, pomyślał rycerz. Czarująca istota.

Rycerz Adalbert, zachęcony przez hrabiego, towarzyszył mu do stajni. Z urzędu zachwycał się końmi i zadawał ciekawość hrabiego, wtajemniczając go w szczegóły, mających się odbyć zapasów. Poczem przyszła kolej na wino, tak iż dopiero nad wieczorem zdołał wejść do ogrodu róż i zbliżyć się do panny Emerencji.

— Zbierz się na odwagę i zakończ konkursy, — wołał za nim hrabia Urban. — Im więcej ceremonji robi się z kobietami, tem bardziej kapryszą. Czas już wyprawić zaręczyny!

Panna Emerencja zajęta była polewaniem krzaków różanych. Ujrzawszy Adalberta, postawiła konewkę i rzekła:

— Ów rycerz również będzie brać udział w turnieju czwartkowym, wówczas los mój się rozstrzygnie. Winien się pan z nim rozmówić i zasięgnąć potrzebnych wiadomości. Może mu też pan dać do zrozumienia, że jestem nim zajęta. Strasznie lękam się dnia tego!

Spojrzał na jej maleńkie dłonie i uczuł gwałtowną niechęć do nieznanego.

— Zapomina pani, że dotąd nie znam jego nazwiska, — wyjąkał.

— Ach prawda, — odparła, — nie zdążyłam jeszcze tego powiedzieć. Uczynię to jutro. Chodź pan, siądziemy razem.

W kącie opodal muru wznosiła się niewielka altanka. Panna Emerencja weszła w głąb i usiadła na ławce. Rycerz Adalbert stanął w pobliżu.

— Chciałam jeszcze dodać, panie hrabio — zaczęła panienka, — że dla ukochanego mojego pragnę być kobietą. Tak, kobietą i to jedyną na całej kuli ziemskiej.

Pomyślał o Fürstenbergu.

— Jedyną. Nie, to niemożliwe, — rzekł z przekonaniem.

Tupnęła nogą.

— A ja panu powiadam, że możliwe. Pan nie rozumie. Miłość moja obejmie uczucia wszystkich kobiet razem. Wówczas będę sama i jedyna. Ona przewyższy kochanie wszystkich razem. To takie proste. I codzień na nowo miłować go będę. *I w ten sposób nigdy mu się nie uprzykrzę, choćbym żoną jego była lat pięćset!

Hrabia Adalbert nie stał już nieruchomie, a krążył tam i z powrotem w obrębie altanki.

— Jakże go będę kochała — ciągnęła dalej panna, — każda kropla krwi mojej należeć będzie do niego, a wszelkie dążenia skupiać się dokoła tego, by mógł zajrzeć w głąb mojego serca i widzieć, jak sączy się ona kropla po kropli.

— To niedorzeczność, — przerwał rycerz. — Nie zdradź się pani nigdy z tem przed żadnym z mężczyzn!

— Czemuż? — zapytała.

— Bo w każdym, wierząc, kryje się zwierzę.

— A więc dobrze, będzie to tajemnicą dla niego. A jednak może byłoby mu to przyjemnie usłyszeć.

— Nie! — rzekł szorstko.

Panna Emerencja powstała i weszła do ogrodu. Rycerz był bardzo blady, co prawda słońce dawno już zaszło i zrobiło się chłodno.

— Najlepiej, — zaczął głosem drżącym, — najlepiej by się stało, gdybyś pani wstąpiła do klasztoru.

— Do klasztoru? — powtórzyła. — I pan tak sądzi?

— Tak!

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Nie uczynię tego teraz, a może — może mnie kocha.

— To właśnie wówczas wypadnie pani wejść do klasztoru.

— Co też pan mówi?

— Zrozum, że żaden mężczyzna nie będzie do niej lgnąć z taką siłą, jak pani do niego i żaden nie wart takiej miłości.

Zerwała różę i przytknęła ją do twarzy.

— Rosa już spadła, płatki zupełnie są wilgotne.

Stara piastunka podeszła ku nim.

— Zrywasz różę, dziecińko — spytała?

— Tak Basiu, — odparła panna. — Właśnie zaczynają się rozwijać.

I wpięła różę we włosy.

— Chodźmy, rycerzu, — rzekła, zwracając się do Adalberta. — Jutro powiem ci jego imię.

W drodze powrotnej młodzieniec popuścił cugli i popędził w takim galopie, iż zdawałoby

się, że goni nieprzyjaciela. Krew pulsowała w jego żyłach, w uszach dzwoniło, a on pędził przed siebie naprzód.

Ciężki pancerz, krępujący jego piersi, przysnął zupełnie.

Gorąca fala krwi rzuciła mu się do serca, jakaś siła bezgraniczna opanowała całe jego jestestwo.

Czy miał bielmo na oczach? Czemu nie obstaje przy swoich prawach. Czyli spokojnie przypatrywać się będzie temu, gdy zostanie żoną innego?

Nie, nigdy! Wszak jest mężczyzną!

Do niego należy córka hrabiego Kastabell, do niego jednego i nikt mu jej nie odbierze!

W dolinie ukończono przygotowania do turnieju. Przestrzeń odmierzona jest i ogrodzona. Popołudniu hrabia Adalbert wjechał tu na swoim Rolandzie i raz po raz okrażał kotlinę, aby przygotować się do zapasów. Gwałtowna jazda napędzała go zadowoleniem i mocą.

Rano złożył był wizytę w kastabelskim zamku, teraz znalazłszy się w ogrodzie, bez żadnego wstępu podszedł do panny Emerencji i powiedział:

— Nie potrzebuje mi pani wymieniać nazwiska owego rycerza. Nie chcę z nim mówić. Czy pani sądzi, że tak łatwo odstąpię komukolwiek prawo do pani — prawo, które mi dał jej ojciec.

— Zbyt późno mówisz pan o przywilejach swoich, rycerzu. A zresztą, nikt do mnie rościć praw nie może, z wyjątkiem tego, kogo kocham. Wszak przyrzekłeś mi być pomocnym.

— Istotnie, przyrzekłem, nie wiedziałem bowiem czego pani żadasz odemnie.

— Obojętne to dla mnie, nie zwalniaj paną z obietnicy. Jutro wiedzieć muszę wszystko! Zacisnął ręce tak, iż zbieleły.

— Dobrze, zostaję wierny danemu słowu. Porozumiem się z tym rycerzem i zapytam o to, co pani żąda... Potem go zabiję!

Zadrżała.

— Na Boga, co pan chcesz czynić? — rzekła.

— Będziemy walczyć, walczyć na śmierć! — zapewnił.

(dok. nast.)



Zazdrosny Estremadurezyk.

(Z hiszpańskiego przełożył Zdzisław M.)

Z nie tłumaczonych dotychczas utworów Cervantesa.

(Wszelkie prawa przedruku niniejszego przekładu — zastrzeżone)

— Dobrze, doskonale powiedziała pani Marialonso — ozwała się jedna z pokojówek; — przemówiła jak osoba rozsądna, która trzeźwo patrzy na rzeczy; jeśli ten pan nie chce złożyć przysięgi, niech do nas nie wchodzi.

Tu przerwała jej murzynka Guiomar, która niezbyt biegle władała kastylskim narzeczem:

Dla mnie zawsze więcej przysięga i wchodzi ze wszystkimi djablami, bo sto razy przysięga, a kiedy jest tutaj, wszystko zapomni.

Loaysa z wielkim spokojem wysłuchał przemówienia pani Marialonso i poważnie a godnie takimi odpowiedział słowy:

— Zaiste, panie łaskawe, siostry i towarzyski, zawsze było, jest i będzie moim zamiarem stać się dla was, wedle miary moich sił, zwiastunem zadowolenia i uciechy. Tak tedy, nie będzie dla mnie rzeczą trudną złożyć przysięgę, której odemnie żądacie; chciałbym jednak, aby dano wiarę moim słowom, każda bowiem obietnica, która wychodzi z ust takiego jak ja człowieka, winna być niejako wiecznym zobowiązaniem. Chcę bowiem, abyscie Waszmościanki wiedziały, że pod mnisią suknią gorące serce bije i nieraz płaszcz wytarty przedniego odziewa szermierza. Lecz, abyscie wszystkie przekonane były o moich dobrych zamiarach, zgadzam się złożyć przysięgę, jak na katolika i mężczyźnę przystało. Przysięgam tedy na enotę nieustraszoną i miejsca, które pod najświętszą i najtrwalszą postacią swoją zamieszkuje, na przejścia i wyloty świętej góry Libanu, na wszystkie cuda, które ku swej chwale zawiera w sobie prawdziwa a nie zrównana historia o czynach Karola Wielkiego, nie wyłączając śmierci olbrzyma Pierabresa, przysięgam, że nie będę się uchylał od danej przysięgi, ani od pełnienia rozkazów, które wydadzą usta najokrutniejszej i najniepokątniejszej z pań tutaj obecnych, pod groźbą kary, że jeśli inaczej postępować będę, albo uczynić co zechcę, od teraz aż do owego czasu, czyn taki wykreślony mi będzie i za niespełniony uznany...

Do tego miejsca doprowadził był Loaysa swą przysięgę, gdy jedna z pokojówek, która słuchała go z natężoną uwagą, wielkim głosem zawołała:

— Oto, zaiste, mowa, któraby nawet kamienie wzruszyła. Niech skonam na miejscu, jeśli mam wymagać, abys więcej jeszcze przysięgał, gdyż słowa, które powiedziałaś wystarczyłyby, aby otwarły się przed tobą wrota samej Cabry pieczary.

To mówiąc, ujęła go za szarawary i wcią-

gnęła do pokoju, poczem wszystkie obecne otoczyły go zwartem kołem.

Jedna z pokojówek pospieszyła niezwłocznie donieść o tem, co zaszło, swej pani, która czuwała nad snem męża. Leonora, gdy dowiedziała się od wysłanniczki owej, że śpiewak już na górę zmierza, uradowana, jednocześnie i zmięszana, zapytała, czy złożył przysięgę. Pokojówka odpowiedziała, iż przysięgał i to w tak dziwnych słowach, że równie dobranych nigdy w życiu nie słyszała.

— Tedy, skoro przysięgał, — rzekła Leonora, — trzymamy go w naszych rękach. Ach! jakżem rozsądnie postąpiła, że kazałam mu złożyć tę przysięgę!

Gdy słów tych domawiała, zbite w ciżbę zjawily się wszystkie mieszkanki domu z muzykantem naszym pośrodku, a murzyn i Guiomar, murzynka, oświetlali je pochodniami. Loaysa, gdy ujrzał Leonorę, rzucił się jej do nóg i chciał całować jej ręce i stopy. Ona, milcząc, ruchem ręki kazała mu się podnieść; dobrą chwilę stały wszystkie jakgdyby oniemiałe, nie śmiać słowa przemówić, w obawie aby ich pan się nie obudził. Loaysa, widząc, że stoją tak w milczeniu, rzekł im, iż mogą mówić głośno, gdyż maść, którą posmarowany był Carrizales, taką własność posiadała, że nie pozbawiając życia, nadawała człowiekowi wszelkie pozory śmierci.

— I mnie tak się zdaje, — rzekła Leonora; — toć, gdyby było inaczej, jużby się obudził ze dwadzieścia razy: o tak lekki sen przyprawiają go zazwyczaj jego liczne niedomagania; a oto, od chwili, kiedy go wysmarowałam, chrapie jak zwierzę.

— Skoro tak się rzeczy mają, — rzekła ochmistrzyni, — przejdźmy do sali frontowej, gdzie będziemy mogły i śpiewu mistrza posłuchać i zabawić się trochę.

— Pójdźmy, — rzekła Leonora; — ale niechaj Guiomar pozostanie tu na straży, aby mogła nas uprzedzić, na wypadek, gdyby Carrizales obudził się zniemacka.

Na to odparła Guiomar:

— Ja, czarna, zostaję, białe idą, Bóg niech przebaczy wszystkim.

Pozostawiwszy więc murzynkę na straży, udały się wszystkie do sali, wytwornymi sprzętami suto ozdobionej, i usadowiwszy mistrza pośrodku, wszystkie zasiadły dokoła. Wówczas, poczeiwa Marialonso, ujawszy w rękę zapaloną świecę, poczęła oglądać naszego muzykanta od góry do dołu, a inne za nią i coraz to któraś odzywała się:

— Ach, co za czupryna! Jaki włos piękny i trefiony!

Albo:

— A zęby, jakie ma białe! Biada kości słoniowej, jeśli zechce z nimi iść w parze, bo nie może być bielsza, ani piękniejsza.

Inna mówiła:

— A oczy, Chryste, jakie wielkie i błyszczące! klnę się na Boga, toć ma oczy zielone; rzekłby kto dwa szmaragdy!

Jedna chwaliła usta, inna nogi, a wszystkie razem obejrzały go szczegółowo niby okaz ana-

tomiczny, o każdej cząstce jego osoby głośno wyrażając swe zdania. Leonora tylko milczała, patrzyła nań uważnie i coraz to bardziej utwierdzała się w mniemaniu, że piękniejszy jest od jej małżonka. Ochmistrzyni tymczasem wzięwszy gitarę z rąk murzyna, podała ją Loaysie, prosząc aby zagrał na niej i zaśpiewał zwrotki, które w Sewilli wówczas nader rozpowszechnione były, a zaczynały się od słów:

Matko, moja matko
Strzedz mię chcecie pono.

Spełnił Loaysa jej życzenie. Powstały wszystkie i jęły tańczyć zapamiętałe. Ochmistrzyni, która знаła owe zwrotki, poczęła śpiewać, a więcej w tym śpiewie było zacięcia i swady, niż głosu; słowa zaś były następujące:

Matko, moja matko
Strzedz mię chcecie pono:
Na nic straż, gdy sama
Nie chcę być strzeżoną.

Powiadają wkoło,
A prawda to przecie,
Że głód na tym świecie
Apetytu szkoła.
Burzom stawia czoło
Miłość, gdy stłumiona;
To niech cię przekona —
Chcesz mię mieć więzioną:
Na nic straż, gdy sama
Nie chcę być strzeżoną.

Gdy się z własnej woli
Człowiek strzedz nie będzie,
Próżno stawia wszędzie
Strażników niedoli;
Tak się wnet wyszkoli,
Że i śmierć oszuka,
A choć wielka sztuka
Zwieść matczyne łono:
Na nic straż, gdy sama
Nie chcę być strzeżoną.

Kto szczęście miał w dłoni
I kochał choć chwilę,
Jak nocne motyle
Za światłem pogoni.
Od złego mię chroni
Szpiegów zastęp spory;
Wszędy widzę zmory —
Tak matce radzono:
Na nic straż, gdy sama
Nie chcę być strzeżoną.

Miłosne okowy
Taką słyną mocą,
Że ich nie zdruzgocą
Najzarliwsze zmywy:
Chaos czynią z głowy,
Z pożądań płomienie
I szerzą pragnienie,
Wdzierając się w łono:
Cóż straż, gdy sama
Nie chcę być strzeżoną.

Miały już zakończyć śpiewy i tańce hoże dziewczęta z poczciwą ochmistrzynią na czele, gdy nagle Guiomar, która pozostała była na straży, wpadła do pokoju, zatrwożona, tupiąc nogami i wymachując rękoma, jakgdyby w przystępie epilepsji się znajdowała i stłumionym, ochrypłym głosem, rzekła:

— Obudził pan, pani, o, pani, obudził pan, pan wstał i przychodzi.


Kto widział kiedy stado gołębic, bez troski spożywających pośród pola ziarno przez obce ręce zasiane, jak spłoszone nagłym wystrzałem z rusznicy, w popłochu ulata w górę i niepomne na opuszczone ziarno, pełne trwogi i zamętu w powietrzu się unosi — ten tylko pojąć może jakie wrażenie wywarło na tę ciżbę rozochoczonych tancerek zjawienie się Guiomary: osłupiały w pierwszej chwili z przerażenia, gdy usłyszały jaką nieoczekiwaną przynosi nowinę. Następnie każda oddzielnie jęła szukać swego usprawiedliwienia, a wszystkie razem — ratunku. Poukrywały się więc, to tu, to tam, po kątach i na strychu, a muzykant nasz, pozostawszy rychło sam w pokoju, zaniechał śpiewu i gitary i, zakłopotany, nie wiedział co czynić mu wypada. Leonora załamywała piękne ręce; biła się po twarzy (choć niezbyt silnie) pani Marialonso. Jednym słowem, wszyscy pełni byli popłochu, przerażenia i obawy.

Ochmistrzyni jednak, jako najprzebieglejsza i najbardziej ze wszystkich powściągliwa, postanowiła, że Loaysa ukryje się w jej pokoju, ona zaś sama wraz z Leonorą pozostanie na sali; myślała bowiem, że znajdzie jakieś usprawiedliwienie przed panem domu, jeśli je tam razem zastanie. Ukrył się tedy Loaysa, a ochmistrzyni jęła nasłuchiwać, czy jej pan nie nadechodzi, nie słysząc jednak żadnego szmeru, nabrała ponownie otuchy i odwagi i zwoła, krok za krokiem, skierowała się ku komnacie gdzie spoczywał uspiiony Carrizales; usłyszawszy, że chrapie po dawnemu, uniosła sukni i pobiegła z powrotem do sali; podzieliła się z Leonorą radosną nowiną, którą ona przyjęła ochoczo, winszując ochmistrzyni jej sprawności. Nie chciała poczciwa ochmistrzyni stracić okazji, jaką los jej nastęrczał i nie nasycić się, przed innymi, wdziękami, które, według jej mniemania, posiadać musiał Loaysa.

Pod pozorem tedy, że idzie go zawołać, poleciała Leonorze, aby poczekała na nią w sali i, pozostawiwszy ją samą, weszła do pokoju, w której Loaysa, strwożony i głęboko zamysłony czekał rychło-li nowa wieść jakaś go dojdzie o uspionym starcu. (dok. nast.)



POPULARYZACJA WIEDZY



Z postępów wiedzy i pracy.

ROŚLINY WYDZIELAJĄCE GUMĘ.

Istnieje dość znaczna ilość roślin, posiadających własność wydzielania z tkanek swych materji kleistej, krzepnącej na powietrzu i pęczniającej w wodzie. Są to rośliny wytwarzające gumę, która posiada dość duże znaczenie w przemyśle. Rośliny te stanowią bogactwo krajów gorących, gatunki ich są liczne, ale dość mało znane.

Gumę bardzo łatwo odróżnić można od innych wydzielin roślinnych, po następujących cechach: nie rozpuszcza się w alkoholu i eterze, czem się różni od żywicy, rozpuszcza się zaś w wodzie, tworząc płyn gęsty i lepki. Co się tyczy ostatniej cechy, to mogą być dwa wypadki; pewne gumy, jak np. arabska, stopniowo pęczniają w wodzie i rozpuszczają się w niej całkowicie, inne, jak np. guma dragantowa, silnie pęczniają pod wpływem wody ale się nie rozpuszczają. Pierwsze, są to t. zw. gumy prawdziwe, drugie — pseudogumy.

Istnieją jeszcze gumy zawierające pewną ilość garbnika, czyli gumy garbnikowe. Znaczna ilość gatunków wydzielających gumę rośnie między innymi w kolonjach francuskich, i z nich guma bywa zbierana. Niewątpliwie jednak produkcje gumy możnaby tam znacznie zwiększyć przez kulturę, która w ogólności jest dość łatwa. Guma wydziela się z roślin sama przez się, można jednak znacznie zwiększyć jej wypływ, robiąc podłużne nacięcia na korze, które ułatwiają wydostanie się gumy nazewnątrz. Nacięcia te mogą być niegłębokie, wystarcza, aby sięgały do bielu, gdyż stwierdzono, że guma tworzy się na granicy między korą, a drzewem. Przed zrobieniem tych nacięć zwykle korę oczyszczają, aby kawałki jej nie przyklejały się do gumy, co

obniża jej wartość handlową i nadaje jej wygląd nieestetyczny. Gumę po wydzieleniu się zwykle pozostawiają na roślinach, dopóki nie wyschnie.

Najlepszych gum dostarczają drzewa rodzaju *Acacia*. Te rosną licznie w krajach suchych, w których deszcz tylko bywa w pewnych okresach roku. Warunkom tym idealnie odpowiada kolonia francuskie w Sudanie, równe Saharze co do suchości klimatu. Próbowano hodować tę roślinę w krajach o bujniejszej vegetacji, w nadziei otrzymania dobrych rezultatów, lecz wyniki były złe, zarówno pod względem ilości oraz jakości gumy.

Królową roślin „gumowych“, jeśli się można tak wyrazić jest *Acacia arabica*, krzew 2 — 6 m. wysoki, o ładnych, złożonych liściach z dwoma kolcami u podstawy. Kwiaty jej przypominają kwiaty mimozy. Guma arabska była już znana w bardzo głębokiej starożytności. W 17-ym wieku przed Chr. Egipcjanie używali ją do wyrobu farb malarskich. Guma ta była zbierana w północnej części doliny nilowej, gdzie *Acacia arabica* rosła niegdyś w znacznej ilości. Głównie jednak przywożono ją na okrętach z Adenu. Trzeba zauważyć, że Aden częściowo tylko otrzymywał ją z głębi Arabji i że pochodziła ona również z Somali. Za czasów rzymskich i w wiekach średnich, Aden był również miejscem składowym dla gumy pochodzącej z Somali. Arabja produkowała olbrzymie jej ilości, które z Dżeddach, morzem Czerwonem przywożone były do Europy, skąd pochodzi nazwa „arabska“ nadawana tej gumie. Za naszych czasów arabowie zbierają bardzo mało gumy, pomimo to, że *Acacia arabica* rośnie dosyć obficie w prowincjach Jemen i Hadramot. Zbierają ją zaledwie w niewielkich ilościach w części południowo wschodniej między Adenem a Makulla, jednak tak mało, że jest ona pochłaniana przez zapotrzebowanie miejscowe. Wywóz równa się prawie zeru.

(d. c. n.)

H. C.

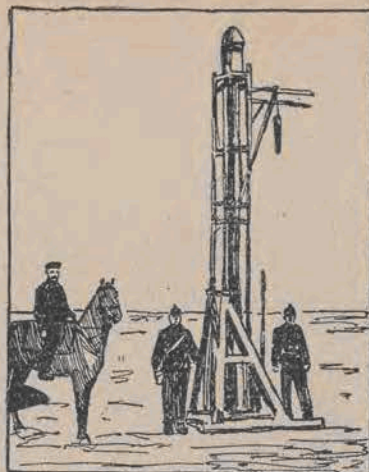
KRONIKA POPULARYZACJI WIEDZY.

Nowy sposób otrzymywania widoków fotograficznych z lotu ptaka wprowadzony został w armji niemieckiej. Niewątpliwie znajdzie on z czasem zastosowanie i dla celów naukowych. Jak wiadomo, w czasie bitwy ważnym jest poznanie stanowiska

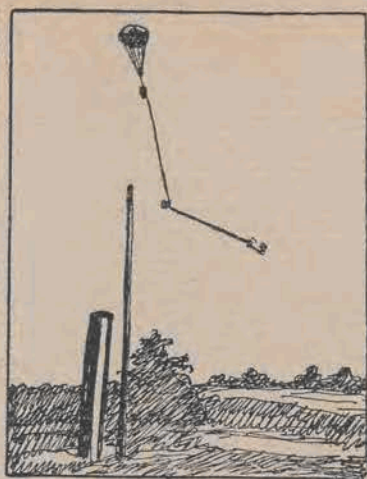
nieprzyjaciela, rozkładu oddziałów jego wojsk, poznanie jego sił liczebnych, zwłaszcza oddziałów ukrywających się za wzgórzami i lasami. W ostatnich latach stosowano w tym celu latawce z przytwierdzonymi do nich aparatami fotograficznymi tak urządzonemi, iż

migawka aparatu odsłaniała aparat na chwilę w czasie, gdy latawiec wzbijał się na pewną wysokość. Następnie, w tym samym celu wypuszczano gołębie, unoszące takie aparaty. Z chwilą udoskonalenia aeroplanów poczęły one w tym kierunku oddawać usługi bardzo

ważne. Aeroplany są jednak zbyt kosztowne i narażają życie ludzi, którzy nimi kierują. Z tego powodu ostatni wynalazek, na który dziś zwracamy uwagę czytelników, jako bardzo tani i nie pociągający za sobą niebezpieczeństwa żadnego, mieć będzie prawdopodobnie znaczenie szczególnie ważne. Mówimy tu mianowicie o wyrzucaniu w górę aparatów fotograficznych za pomocą rakiet. Rakieta składa się z zamkniętej na jednym końcu rury, zawierającej nabój prochu i przytwierdzonej do stojącego na ziemi pionowo kija. Z chwilą podpalenia naboju proch wybuchu, tworzące się gazy wylatują silnym nagłym strumieniem przez dolny otwór rury, uderzając w powietrze ku dołowi z taką siłą, iż na zasadzie reakcji cały przyrząd wylatuje na znaczną wysokość w górę wraz z kijem, do którego rura rakiety jest przyczepiona. Pierwszym, który wpadł na pomysł przyczepiania aparatów fotograficznych do rakiet, był francuz Denisse. Jak to często jednak bywa we Francji, rzecz skończyła się na genialnym pomysle, który opracowali, wypróbowali i wprowadzili w czyn Niemcy. Inżynier Alf. Maul rozpoczął pierwsze próby pod Lipskiem w 1901 r., które pociągnęły za sobą znaczne koszty, ale wreszcie doprowadziły do pomyślnych wyników. Rzeczony inżynier dopiął mianowicie tego, iż zdejmował z wysokości aparatem, przyczepionym do rakiety, daną okolicę w promieniu, jaki sobie z góry oznaczył. Przyrząd jego składa się z przyczepionego do wierzchołka kija rakiety aparatu fotograficznego, połączonego ze spadochronem. Długość całego przyrządu wynosi 6 metrów, jego ciężar 42 kilogr.; posiadał on obiektyw o 28 centym. odległości ogniskowej, wymiar kliszy 20×25 centym. Wyrzucony rakieta w górę, wznosi się aparat na wysokość 800 metrów. W chwili, gdy dosięga żądanej wysokości i pozostaje na okamgnienie w spokoju, aparat fotograficzny za pomocą pneumatycznie - elektrycznego kontaktu odsłania migawkę i zdejmuje plan okolicy, poczem



Rys. 1.



Rys. 2.

(Do artykułu: Nowy sposób otrzymywania widoków fotograficznych).

poczyna spadać. Wówczas jednak otwiera się jednocześnie spadochron, zwalniający spadek i zabezpieczający aparat, który zresztą zaopatrzony jest i w inne jeszcze środki, zabezpieczające go przed zbyt silnym uderzeniem o ziemię. Utrwalenie kliszy i zdjęcie z niej kilku odbitek dla rozesłania do różnych baterji nie wymaga więcej nad 15 minut czasu. Wynalazca wykazał, iż tą drogą można otrzymać szybko dokładne i bardzo wyraźne obrazy okolicy, na której rozpoznać się dają wszystkie niezbędne szczegóły. Rys. 1 przedstawia przyrząd, gotowy do wypuszczenia, wraz z całym rusztowaniem, podtrzymującym go. Rys. 2 przedstawia aparat fotograficzny opadający na ziemię wraz ze spadochronem. Wogóle, zaznaczyć należy, że w dziedzinie fotografii poczyniono ostatnimi czasy wielkie ulepszenia.

Drzewa a elektryczność.

W czasopiśmie „Electrical World“ - znajdujemy artykuł prof. Adie o działaniu elektryczności atmosferycznej na drzewa i o użytkowaniu drzew do telegrafowania bez drutu. Prof. Adie stwierdza odmienne oddziaływanie silnych atmosferycznych wyładowań na różne gatunki drzew. Wiadomo, że dąb szczególnie często trafiany bywa przez piorun, natomiast w buki piorun nie uderza prawie nigdy. W tych przy-

padkach różne ukształtowanie korzeni drzew ma podobno, odgrywać jeszcze ważniejszą rolę, niż ilość zawartego w drzewie soku. Uschłe drzewa zachowują się podobnie jak maszty chora gwiane: piorun rozłupuje je najczęściej u wierzchołka. W żyjące drzewa, natomiast piorun uderza zwykle w środek pnia między powierzchnią ziemi, a ulistwieniem. To spostrzeżenie objaśnia nam fakt dlaczego tak mała względnie ilość ludzi, szukających w czasie burzy schronienia pod drzewami, zostaje uderzona przez piorun.

Autor przytacza następnie liczne doświadczenia czynione z drzewami dla zastosowania ich do telegrafowania bez drutu. Wywody autora potwierdzają doświadczenia majora Squiera i nie zawierają nic zasadniczo nowego. Z doświadczeń wynika, że żyjące drzewa mogą być używane do celów telegrafji bez drutu, jako odbieracze fal z odległości kilku kilometrów.

Pytanie co do zastosowania drzew i do wysyłania fal elektrycznych pozostaje nierozstrzygnięte. Powyższa zdolność drzew do przyjmowania fal, mogłaby może znaleźć zastosowanie w służbie wojskowej do przesyłania wiadomości. W każdym razie mowa być może tylko o niewielkich odległościach, gdyż na wiosnę, gdy drzewa zawierają najwięcej soków, elektryczny ich opór jest jeszcze bardzo znaczny.

Osobliwy globus.

W jednym z mniejszych miast angielskich pewien amator geografji, skorzystawszy z wielkiego, okrągławej formy kamienia, leżącego obok jego domu, polecił sporządzić z niego globus, przewyższający wszystkie inne globusy świata wprawdzie nie pod względem dokładności naukowej, ale zato napewno pod względem—ciężaru. Osobliwy ten globus ma 10 stóp średnicy i stanowi pełną kulę kamienną, dokładnie obrobioną, a ważącą 800 centnarów. Na powierzchni tego globusa wyrzeźbiono granice lądów i państw w postaci wypukłej płaskorzeźby. Południki i równoleżniki

strzegając nawet, iż tą drogą uczy się łatwo geografji. Oboczny rysunek przedstawia właśnie zdjęcie fotograficzne globusa kamiennego, znajdującego się w miasteczku, zwanem Swanage.

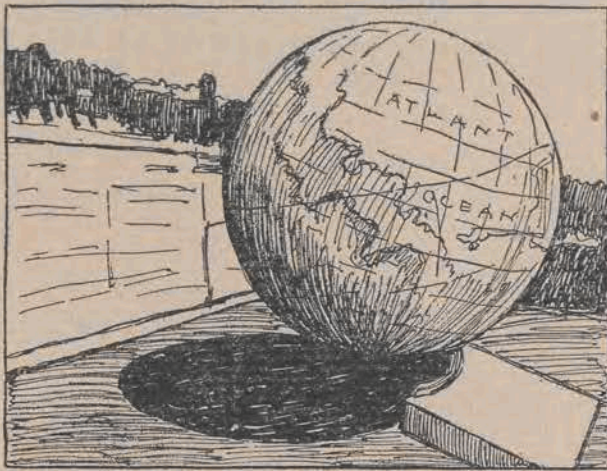
Zdolności mrówek.

C. H. Turner poczynił bardzo ciekawe doświadczenia, z których wynika, że mrówki bynajmniej nie są, jak mniemano dotychczas, w odnajdywaniu drogi niewolnikami „pachnącego tropu“, i że kierują się w wyborze kierunku drogi kierunkiem światła.

Oto niektóre z tych doświadczeń p. Turnera.

Pośrodku sztucznego mrowiska zbudowana została platforma kartonowa, a przytwierdzony do niej pochyły blacik kartonowy udogadniał mrówkom schodzenie z platformy do gniazda. Na platformie umieszczono kilka mrówek i ich jajka. Mrówki zaczęły chodzić po kartonie, aż wreszcie trafiły na ten bok kartonu, do którego przytwierdzony był blacik do schodzenia. Wówczas mrówki zaniosły do mrowiska jajka. Operację tę powtórzono kilkakrotnie z tym samym rezultatem, aż wreszcie mrówki nauczyły się od razu trafić na właściwą drogę.

Wówczas p. Turner przytwierdził do przeciwległego boku drugi blacik kartonowy, po którym mrówki również mogłyby przedostać się do gniazda; wszystkie one jednak poszły dawną drogą. Wtedy dopiero p. Turner zamienił miejsca obu blacików, nowy przeniósł na miejsce starego, wóнного i odwrotnie; mrówki jednak ani na chwilę nie wahały się wyborze drogi i do gniazda poszły przez nowy blacik. Doświadczenie to wykazało bezpodstawność dawnych przypuszczeń o „pachnącym tropie“, po którego zapachu mrówki miały odnajdywać drogę i zwróciło badacza w kierunku doświadczeń nad wpływem światła na zmysł kierowniczy mrówek.



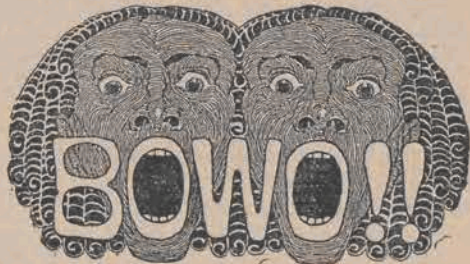
Osobliwy globus.

zaznaczono rysami wgłębionymi. W ten sam sposób wykonano na globusie rzeki, miasta, napisy oznaczające nazwy mórz, krajów, rzek i miast oraz inne szczegóły. Mieszkańcy tego miasteczka są nadzwyczaj dumni z posiadania takiej osobliwości, ściągającej ciekawych anglików i przysparzającej w ten sposób dochodów miastu, a nie pociągającej żadnych wydatków na jej utrzymanie i strzeżenie, wobec bowiem ciężaru globusa niema chyba obawy o to, aby kiedyś skradziony został. Dla obejrzenia globusa zbiegają się nie tylko dzieci szkolne, zwiedzają go i podróżni, a co najważniejsza, okoliczny lud schodzi się często, zwłaszcza w dni niedzielne i świąteczne, odcytując nazwy krajów i prowadząc z tego powodu ożywione debaty polityczne, a nie spo-

SPRÓBUJCIE!
Znakomita pastę do obuwia
LUNA
a nie kupicie innej.

Popierajcie Przemysł Krajowy!
Kupujcie tylko najlepszą
Krajową pastę do obuwia
CHROMOLIN HEGNERA
Fabryka Ordynacka 9

BULJON



Najlepszy wyrób krajowy. Talerz rosółu 3 kop. Spróbujcie porównajcie.

Warszawska fabryka konserw J. Werner, Cyrański i S^{ka}
SOLEC № 39a. TELEFON 15-49.

Zadać we wszystkich handlach, popierających przemysł polski

Niektóre doświadczenia udowodniły, że błędne jest również mniemanie, jakoby mrówki stale chodziły raz przyjętymi drogami.

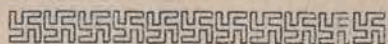
Mrówki uczą się odnajdywać drogę do gniazda z platformy i z powrotem; to ostatnie wymaga więcej czasu. Otóż zdarzało się zaobserwować, że niektóre mrówki schodziły do mrowiska po górnej powierzchni blata, a wchodziły na platformę po spodniej. Zaobserwowano również, że niektóre z tych owadów schodziły przez jeden blacik, a wchodziły przez drugi. Nie jedna zatem bywała droga na platformę i z powrotem.

Inne doświadczenia bardziej jeszcze przekonały p. Turnera o prawdziwości swego przypuszczenia, że kierunek światła wpływa na orientację i ruchy mrówek. Używając do doświadczeń lampy, oświetlał nią jeden z blacików schodowych, a drugi został chwilowo usunięty. Z konieczności, wszystkie mrówki nauczyły się schodzić przez oświetlony blacik. Wówczas p. Turner zastosował drugi blacik, pozostawiając go jednak w cieniu. Minęło pięć minut i żadna z mrówek nie obrała nowej drogi. Wtedy p. Turner oświetlił drugi blacik schodowy, pozostawiając pierwszy w cieniu. W pierwszej chwili, mrówki wpadły w zamieszanie, lecz trwało to krótko, i owady zaczęły schodzić nową drogą, przez oświetlony drugi blacik.

Ciepło nie działało w danym razie napewno, gdyż lampa osłonięta była pochłaniającym ciepło ekranem. Również jednak nie działało i napięcie światła, gdyż stosowanie lamp o rozmaitej intensywności światła, nie zmieniło rezultatów.

Mrówki reagowały na kierunek światła, a nie na jego intensywność.

Promieniotwórczość organów ludzkich. Prof. v. Czerny złożył heidelberskiej akademii nauk rezultaty badań d-ra Caana, dokonane w tamtejszym instytucie, poświęconym badaniu raka. Dr. Caan mianowicie doszedł do wniosku, iż niektóre organy ciała ludzkiego odznaczają się radioaktywnością, t. j. wysyłają promienie, oddziaływujące na kliszę fotograficzną. Caan badał różne narządy, przeważnie substancję mózgową człowieka, wystawiając na ich działanie kliszę fotograficzną, owiniętą w czarny papier, trzymaną na znacznej odległości od badanego organu; pomiędzy kliszą a organem umieszczał jeszcze siatkę drucianą. Na kliszy otrzymywano odbicie potwierdzające wniosek profesora. Zarazem tenże badacz wykazał, iż dookoła takich promieniotwórczych organów powietrze staje się w większym lub mniejszym stopniu dobrym przewodnikiem elektryczności, a wiadomo, iż wszystkie substancje promieniotwórcze taki właśnie wpływ na otaczające powietrze wywierają. Nie podlega przeto wątpliwości, iż chodzi tu istotnie o radioaktywność. Z różnych narządów człowieka najmniej czynnymi okazały się nerki, śledziona, wątroba i serce, najbardziej — mózg. Odnośne badania, w szczególności których wdawać się byłoby tu nie na miejscu, prowadzone są w dalszym ciągu.



Śmierć słynnej żaby.

Przed kilku laty skończyła życie... zwyczajna żaba z pracowni fizjologicznej, która jednakże cieszyła się przez czas dość długi pewną sławą. Była to żaba (*Rana esculenta*), której niegdyś dr. Wilbert, kierownik zakładu fizjologicznego uniwersytetu w Cornelle w Ameryce północnej — wyciął obie półkule mózgowia. Rana zagoiła się nader szybko, poczem zwierzę zostało umieszczone w dużym naczyniu otwartem. Od r. 1899 operowana żaba wykonywała tylko nieznaczne ruchy, zależne prawdopodobnie od zmęczenia mięśniowego i podobne do poruszeń wykonywanych zazwyczaj podczas snu. Oczy, nerwy i wzgórki wzrokowe przez operację nie zostały uszkodzone, lecz żaba, widząc różne przedmioty, najwyraźniej nie rozróżniała ich, nie wzruszała jej widok najbardziej nawet smakowitego pokarmu. To też trzeba ją było karmić codziennie, wsuwając za pomocą sondy — kawałki mięsa surowego lub ryby, głęboko do przełyku, dla wywołania czynności odruchowej polykania.

Za dotknięciem ręki ludzkiej żaba ta poruszała się i próbowała skakać. Wrzucona do wody — pływała, dopóki nie natrafiła na jakie bądźoparcie; przewrócona na grzbiet szybko i silnym ruchem odwracała się, lecz nigdy nie wykonywała żadnych ruchów samorzutnych.

Żaba ta służyła przez lat kilka do demonstracji na wykładach fizjologii, a także była wystawiona w Waszyngtonie na zjeździe fizjologów amerykańskich, gdzie wzbudzała powszechne zaciekawienie.

WARUNKI PREENUMERATY „ZŁOTEGO ROGU“:

W Warszawie	rocznie rb. 6.— półr. rb. 3.— kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.— „ „ 3.50 „ „ 1.75
Za granicą i za oceanem	„ „ 10.— „ „ 5.— „ „ 2.50
Za odnośnienie do domu 15 kop. kwartalnie.	Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. Nadesłane, w tekście — 75 k. Reklamy — 40 k. Ogłoszenia na 3 str. okładki 20 k. Na 4 str. okładki — 30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa“.

Redaktorka odpowiedzialna Izabela Arturowa Głiszczyńska.

Kierownik literacki Wacław Grubiński.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Królewska 27. Telefon 152-05.

Druk L. Biłłuckiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.